Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 9

Dzisiejszy stan polskiej kultury słowa

Wybitny polski gramatyk, językoi styloznawca, prof. Stanisław Szober ogłosił w praskiej „Slavische Rundschau" dłuższy artykuł pod takim właśnie tytułem („Der heutige Stand der polnischen Sprachkultur"). Myśli i twierdzenia w tym artykule zawarte zasługują na szersze, niż to się dzieje z artykułami w pismach fachowych, rozpowszechnienie wśród polskiego czytającego społeczeństwa. Bieg myśli prof. Szobera jest następujący:

Właściwością człowieka jest nietylko to, że człowiek myśli, lecz także i to, że zdaje sobie sprawę z własnego myślenia. Mowa jest pewnym specjalnym rodzajem myślenia; zastosowawszy więc do niej powyższe kryterjum, widzimy, że z kulturą słowa — prawdziwem człowieczeństwem języka — spotykamy się wtedy, gdy mówiący zważa nietylko na to, co mówi, lecz i jak mówi i w następstwie tego dąży do pewnego ideału w mówieniu.

Pierwszem polskiem wołaniem o poprawność mówienia — o piękne, estetyczne mówienie — był „Dworzanin" Łukasza Górnickiego, który domagał się nietylko czystości wysłowienia się i nietylko ścisłości w wyrażaniu myśli, lecz także dbania o względy estetyczne i stylistyczne. Odtąd zaczyna się w Polsce nieprzerwana walka o właściwy i najpiękniejszy polski język, o polską kulturę słowa. Samo istnienie tej walki jest objawem dodatnim, gdyż świadczy ono o żywotności polskiego języka i żywotności narodu, który tym językiem mówi.

* * *

Walka o polską kulturę słowa wchodzi już w czwarty swój okres; w pierwszym walczono o zapewnienie językowi polskiemu przynajmniej równych praw z łacińskim; w drugim — już przy końcu 18 w. — hasłem bojowem stało się wołanie o złamanie przewagi, jaką nad językiem ojczystym posiadł w Polsce język francuski; w trzecim okresie walczono z rozkładowym wpływem języków: rosyjskiego i niemieckiego; w czwarty okres wchodzimy obecnie.

Pozostałości z trzeciego okresu ciążą jeszcze poważnie nad współczesnym językiem polskim, ale też na tem polu wiele zrobiono od czasu odzyskania niepodległości. Wpływy języków zaborców najgłębiej się zaznaczyły w t. zw. języku urzędowym, w różnych dziedzinach działalności państwa. Dlatego też tak wielkie ma znaczenie językowa strona prac Komisji Kodyfikacyjnej, wprowadzającej w życie stopniowo jednolity, ogólnopaństwowy kodeks prawny, mający objąć różne działy prawa publicznego i prywatnego. Z Komisją Kodyfikacyjną współpracuje komisja dla spraw języka urzędowego, wyłoniona przez warszawskie „Towarzystwo Współczesnej Kultury i Prawidłowej Pisowni Polskiej". Specjalna komisja językowa, złożona z językoznawców i fachowców kolejowych i działów pokrewnych, pracuje w ministerstwie komunikacji. O język dba również państwowy instytut statystyczny, który przedsięwziął m. in. poważną pracę nad ustaleniem nazw miejscowości w całem państwie.

Na uwagę zasługują również prace kół wojskowych nad polskiem słownictwem wojskowem. Pięknym wynikiem tych prac jest wydany w r. 1924 „Polsko - francusko - niemiecko - rosyjski słownik taktyki".

Poczynaniom tym i troskom o polską kulturę słowa w dziedzinie urzędowej i wojskowej dotrzymuje kroku praca nad polskiem słownictwem fachowem w różnych dziedzinach techniki, przemysłu, rzemiosła i handlu. Polska Akademja Nauk Technicznych opracowała już — owoc wysiłków lat dziesięciu — „Polski słownik techniczny".

Nad ujednoliceniem i ustaleniem mowy potocznej kół wykształconych pracuje wspomniane już „Towarzystwo Współczesnej Kultury i Prawidłowej Pisowni Polskiej", które wydaje w Warszawie poświęcony tym celom „Poradnik Językowy". Podobne zadanie spełnia częściowo „Język Polski" wydawany w Krakowie przez „Towarzystwo Miłośników Polskiego Języka". Poważnym przyczynkiem do rozpowszechnienia i ustalenia ogólno - polskich zasad gramatycznego mówienia jest „Poradnik gramatyczny", opracowany przez lwowskich językoznawców H. Gaertnera i A. Passendorfera.

Czwarty okres walki o kulturę polskiego języka odznacza się gwałtownym naporem elementów językowych ludowych i wogóle warstw t. z. niższych na dotychczas ustalone i uświęcone tradycją zasady mówienia i pisania warstw wykształconych. Pozostaje to w związku z ogólno - europejskiem zjawiskiem demokratyzacji, którego istotę stanowi masowe wtargnięcie do warstw wykształconych elementów ludowych. Zjawisko to można było zaobserwować w każdej epoce, lecz dawniej to przenikanie odbywało się tak powoli, że warstwy stare miały czas surowych przybyszów zaasymilować i — ciągle mówimy o dziedzinie językowej — do siebie upodobnić. Dzisiaj przybysze wchodzą odrazu gromadą i wnoszą ze sobą własne przyzwyczajenia językowe i własny sposób myślenia. Proces ten zaznaczył się przed wojną najwyraźniej w ówczesnej Galicji, po wojnie ogarnął całą Polskę.

Proces demokratyzacji tem bardziej komplikuje sytuację w dziedzinie języka, iż równocześnie z nim dokonywają się inne przemiany charakterystyczne dla naszych czasów. Są to: zwycięstwo cywilizacji technicznej nad kulturą duchową i rozpowszechnienie się materjalistycznego poglądu na świat, na szerokie masy społeczeństw. Te dwa zjawiska stają się przyczyną trzeciego: przemiany procesu demokratyzacji, która sama w sobie jest objawem dodatnim, w proces wulgaryzacji.

* * *

Stan kultury w każdej epoce oddziaływa i można powiedzieć, kształtuje duchowość człowieka, co skolei odzwierciedla się we frazeologji. I tak np. wielki wpływ na polską frazeologię wywarła niegdyś biblja. Z niej to mamy takie wyrażenia, jak: „być kozłem ofiarnym", „wylecz się sam, lekarzu", „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju" itd. Podobnie było z literaturą antyczną, która żyje w takich wyrażeniach, jak: „pod egidą", „pod auspicjami", „nosić sowy do Aten", „rozciąć węzeł gordyjski", „oczyścić stajnię Augiasza", „przekroczyć Rubikon", „Pirrusowe zwycięstwo", „Herostratesa sława", „miecz Damoklesa" itp.

Podobnie cała masa stałych zwrotów językowych ma swe — od czasów najdawniejszych — źródło w życiu rodzinnem i zawodowem. W odległą polską przeszłość językową sięgają różne zwroty zaczerpnięte z dziedziny rolnictwa, wojskowości i rzemiosła. W ten sposób język staje się wiernem odbiciem życia.

Prawo to sprawdza się i na naszych czasach. Tylko teraz już nie z dziedziny wojskowości, rolnictwa i rzemiosł czerpiemy nowe zwroty i przenośnie, lecz z dziedziny handlu, bankowości i nauk technicznych. Z handlu mamy takie wyrażenia, jak reflektować, likwidować, amortyzować (nawet m. in. czas!), szczęście stuprocentowe, mężczyzna stuprocentowy itd. Od czasów Watta wiele czynności dokonywamy pełną parą, którą wjeżdżamy na najróżniejsze tory. Często się przecież zdarza, że „inicjatywa powinna wejść na tory akcji konkretnej", albo, że „ważne powody przemawiają za wprowadzeniem szkoły jednotorowej". Murowane budowle słusznie uchodzą za najtrwalsze i dlatego tak często używamy wyrażenia „murowany" zamiast pewny (murowane przybycie, murowana pożyczka). Czesi są tu jeszcze bardziej nowocześni, gdyż mówią w podobnych wypadkach: „na beton".

Człowiek myśli albo w obrazach i przedstawieniach konkretnych, albo w ogólnych pojęciach. Myślenie pierwszego rodzaju jest źródłem stylu obrazowego, myślenie drugiego rodzaju daje początek stylowi abstrakcyjnemu. Pierwszy styl ma przewagę w poezji, a dotychczas miał i w życiu codziennem. Odtwarzając nam bowiem całe obrazy przedmiotów, poszczególnych zjawisk, zdarzeń i przeżyć, wyrażał często nietylko naszą myśl, lecz i nasze uczucie. Przeciwnie drugi styl — abstrakcyjny, w którym chodzi nie o plastyczność przedstawień, lecz o ścisłość i rozgraniczenie pojęć. Ponieważ zaś pojęcia są zawsze wynikiem uogólnienia, więc styl abstrakcyjny nadaje się najlepiej do wyrażenia wszelkich reguł, zasad i prawd powszechnych. Dlatego też styl abstrakcyjny spotykamy w dziełach traktujących o prawach naukowych, w wyrokach sądowych i normach prawnych.

Stylem abstrakcyjnym przemawia zatem intelekt ludzki i grupa społeczna, stylem obrazowym jednostka ludzka i jej uczucie.

Dzisiaj coraz bardziej styl abstrakcyjny wypiera z mowy potocznej swego poprzednika, styl obrazowy. Ozdobą stylu abstrakcyjnego stają się określenia i zwroty z różnych dziedzin naukowych: matematyki, fizyki, chemji, ekonomji społecznej, socjologji, biologji, psychologji. Najczęściej przytem określeń tych i zwrotów używają ludzie, którzy z danemi naukami mają bardzo mało albo też nic nie mają wspólnego. Mówią więc o cenach sztywnych lub elastycznych, o rynkach zbytu nasyconych, o atmosferze naelektryzowanej, o wyładowaniach namiętności, a oświetleniu wszelkich możliwych zagadnień, o elementach, momentach, o siłach nauczycielskich, o szkołach jako kondensatorach wiedzy. Człowiek przytem rzadko bywa brany pod uwagę jako osobowość samodzielna, najczęściej bywa przeciwstawiany grupie, do której należy zawodowo lub z racji swego pochodzenia. Dlatego to często czytamy w dziennikach takie zwroty: wielu wybitnych przedstawicieli szeregów nauczycielstwa, albo: zależało to od komórki organizacyjnej.

Ten rodzaj stylizacji zapoznaje zupełnie indywidualność i osobowość człowieka i przedstawia go jako kółko w mechanizmie organizacji społecznej. Jednostką pozostaje człowiek tylko jako abstrakcyjne przeciwstawienie grupie społecznej.

Jeszcze bardziej abstrakcyjny charakter mają różne czynniki miarodajne, siły nauczycielskie lub czynniki nadzoru szkolnego. Zdarzają się nawet stylistyczne karykatury w rodzaju: pewne czynniki w Polsce zaśmiały się, które nas już nie rażą. Człowiek jest więc coraz częściej traktowany nieosobowo, co w języku zaznacza się zastępowaniem liczby mnogiej przez rzeczowniki zbiorowe: nauczycielstwo zamiast nauczyciele, koła urzędnicze zamiast urzędnicy. Jeśli chodzi o związki, stowarzyszenia i organizacje, to tam w podobnych wypadkach występuje zapożyczona z biologji komórka z dodatkiem organizacyjna.

* * *

Tak się odzwierciedla we współczesnej frazeologji społeczna rola człowieka. Jeśli idzie natomiast o jego życie wewnętrzne, to obserwujemy tutaj dziwne zjawisko: miejsce dawnej ludzkiej duszy, zajęła współczesna psychika, która nie jest już samym człowiekiem lecz tylko przemijającą czynnością nerwów czuciowych i ruchowych, lub w najlepszym wypadku życiem duchowem człowieka. Frazeologicznym wyrazem takiego pojmowania zjawisk duchowych

są używane i nadużywane dzisiaj zwroty: **nerwowość, nerwowy, zdenerwować się.** Podrażnieniem nerwowem nazywane są coraz częściej stany uczuciowe, które dawniej określane były jako gniew, oburzenie, zazdrość, smutek, rozpacz, trwoga. Tak jakby już nie było odczuwającego i przeżywającego człowieka, lecz tylko zewnętrzne objawy podrażnienia nerwów.

To sprowadzenie wewnętrznych przeżyć człowieka do procesów fizjologicznych, lub psychologicznych jeszcze bardziej uwidocznia się w takim zwrocie, jak: **mam wrażenie.** Dzisiaj już nikomu nic się nie **zdaje** lub **wydaje,** lecz każdy **ma tylko wrażenie.** A przecież to nie jest to samo: w dawnym zwrocie człowiek zachowuje czynną postawę wobec świata zewnętrznego — w nowym człowiek biernie rejestruje wrażenia zzewnątrz.

Bierność tak opanowuje człowieka, iż o różnych czynnościach i zjawiskach mówi on jakgdyby rozgrywały się one poza zasięgiem jego woli. Charakterystyczne jest, że dzisiejszy człowiek nie podąża już do wybranego celu, lecz tylko trzyma się pewnego — jakgdyby z zewnątrz mu narzuconego — kierunku lub linji, czasem nawet przekątnej czworoboku sił, wedle wzoru praw fizycznych. Stąd pochodzą takie zwroty: **związek pracował również w kierunku eksportu drzewa, głosowanie idzie po linji zasadniczych interesów, wnioski te nie idą po linji niemieckich życzeń.**

Człowiek więc coraz bardziej przedstawia sobie swoją działalność publiczną, a nawet swoje życie duchowe jako pewne zjawiska zewnętrzne i to natury fizycznej. Naturalnem tego następstwem jest, że odpowiednie pojęcia tracą coraz bardziej swój aspekt jakościowy na rzecz ilościowego, a zmysłom przedstawiają się w formach prostych, zaczerpniętych z dziedziny geometrji. Coraz częściej działamy na różnych **odcinkach** lub w pewnej **płaszczyźnie. Punkt, linja, płaszczyzna, poziom, przestrzeń, odcinek, kierunek, stosunek,** oto są stałe zwroty współczesnego stylu, a od tej geometrycznej frazeologji nie są wolne nawet dzieła literackie.

* * *

Dalszem zjawiskiem we współczesnym języku staje się t. zw. przedmiotowe pojmowanie świata. Dotychczas przewagę miało zjawiskowe pojmowanie świata, które polegało na tem, że człowiekowi świat przedstawiał się jakby jakaś scena, na której ciągle się coś dzieje, ciągle się coś zmienia, wszystko jest w ustawicznym ruchu, wszystko ma formę stających się zjawisk. W pojmowaniu przedmiotowem świat jest zakrzepłem zbiorowiskiem przedmiotów, właściwie nieruchomych, które pozostają w pewnem wzajemnem do siebie ustosunkowaniu się. Zmianie ulega co najwyżej to ustosunkowanie się i to w tej formie, że nawet ruch przedstawia się w tem pojmowaniu, jako szereg sytuacyj statycznych następujących po sobie w czasie. U Kadena - Bandrowskiego w „Lenorze" nawet taniec nie jest czem innem, jak ustosunkowaniem się nóg do parkietu.

Każdy z tych dwu światów ma właściwe sobie formy: świat przedmiotów mieści się w przestrzeni, świat zjawisk odbywa się w czasie. Przestrzeń jednak jest poza nami, jest czemś zewnętrznem czas jest właściwie w nas. Stąd w pojmowaniu przedmiotowem świata odzwierciedla się dążność dzisiejszego człowieka do objektywizacji myślenia, w pojmowaniu zjawiskowem widzimy dawny subjektywizm. Językowym obrazem tych przeciwieństw jest rosnąca dziś przewaga rzeczownika nad czasownikiem we współczesnym stylu.

W języku więc, sposobie wyrażania się i stylu odzwierciadlają się charakterystyczne cechy współczesnego życia jednostki i społeczeństwa. W duchowem życiu jednostki będzie to przewaga intelektu nad uczuciem, w życiu społeczeństwa przewaga grupy nad jednostką, w moralności jednostki i społeczeństwa przewaga ilości nad jakością.

Ten stan kulturalny jest jednem z następstw francuskiej rewolucji. Matką jego jest demokracja, ojcem postęp techniczny. Zdobycze nauk ścisłych powodują przewagę intelektualizmu, który jednak dotarłszy do bardzo szerokich warstw traci swą siłę twórczą, staje się źródłem nowego dogmatyzmu i coraz bardziej uzależnia jednostkę od społeczeństwa.

Od tej zależności nie jest wolna nawet tzw. inteligencja. Może najbardziej charakterystyczne jest łączenie się t. zw. „wolnomyślicieli" w związki, które z natury rzeczy nie dają warunków naprawdę wolnego myślenia. Zjawisko to można określić jako uspołeczniony intelektualizm. Człowiek nie myśli już samodzielnie, lecz w grupie: zawodowej, rodowej czy klasowej. Wyzbywając się własnej samodzielności myślowej na rzecz grupy, jednostka ludzka tem bardziej skłania się do egocentryzmu w najpierwotniejszych popędach biologicznych i w ograniczonym kręgu uczuć egoistycznych.

Kto jest winowajcą tego stanu rzeczy? I warunki gospodarczo - społeczne XIX wieku i pewne prądy umysłowe, a przedewszystkiem t. zw. materjalizm dziejowy. Dla swoich twórców materjalizm dziejowy był tylko teorją, wysnutą z przyjętych racjonalistycznych założeń, dla szerokich mas staje się dogmatem, który one przyjmują biernie. Bierność ta wynika nietylko z właściwości duchowych większości ludzi, lecz i z warunków współczesnego życia. Zajęci zawodowo ludzie nie mają czasu na opracowanie własnego poglądu na świat, własnej metafizyki, którą nawet inteligenci czerpią z dostępnych im książek, lub co gorzej, z dzienników. Zależność tę ideową potęgują walki klasowe i polityczne. Związek zawodowy czy partja polityczna chcąc wyzwolić człowieka z niewoli dotychczasowej, gospodarczej i politycznej, wkłada nań jarzmo cięższe, bo ideowe! Jarzmo to jest szczególniej dotkliwe wtedy, gdy jednostka ludzka wkłada je pod przymusem.

Demokratyzacja kultury sama w sobie jest zjawiskiem dodatniem, pomnażającem siły narodu. Jeżeli jednak przyjmuje zbyt gwałtowne tempo, okupiona być musi pewnemi ofiarami. W dziedzinie języka np. jako zjawisko przejściowe występuje jakby pewna barbaryzacja frazeologji, a także kryzys morfologji i syntaksy. Do walki o kulturę słowa muszą wtedy wystąpić językoznawcy, którzy nie mogą z olimpijskim spokojem przypatrywać się niepożądanym zjawiskom w dziedzinie języka. „Objektywizm naukowy" tego rodzaju byłby tu zupełnie nie na miejscu, gdyż chodzi w tym wypadku o utrzymanie i pomnożenie dziedzictwa kultury, pozostawionego nam przez przodków. Językoznawcy powinni rozstrzygać zgodnie z autorytetem wielkich pisarzy, duchem języka i jej wyrazem: praktyką powszechną i tradycją.

Czas powinien pracować na korzyść polskiej kultury słowa. Dalszy rozwój duchowy świeżych kulturalnie elementów musi dać dobre wyniki. Pierwszym stopniem do kultury szerokich mas są pewne zdobycze intelektualne. Na tem podłożu rozwija się później kultura duchowa, kultura uczuć. „Myśli się rodzą, uczucia są wrodzone" — zauważył kiedyś trafnie Maurycy Mochnacki. Muszą więc zwyciężyć najlepsze przymioty polskiego narodu i polskiej rasy.

e. m.

Z przeszłości Sambora

Miasto Sambor, położone na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych i traktów wojskowych, narażone było niemal od chwili swego założenia na częste napady hord nieprzyjacielskich.

Zdawał sobie z tego sprawę założyciel miasta, Spytko z Melsztyna, kiedy w roku 1390 na mocy udzielonego mu przez Władysława Jagiełłę przywileju poruczył byłemu wójtowi łańcuckiemu, Henrykowi, zbudowanie miasta na gruntach istniejącej już poprzednio osady zwanej Pohonicz.

W krótkim czasie, dokoła centralnego punktu, tj. Rynku wyrósł cały labirynt wąskich uliczek, zabudowanych drewnianemi parterowemi domkami. W nowo powstałem miasteczku poczęło kwitnąć pracowite, spokojne życie.

Bezpieczeństwa miasta strzegły potężne wały ziemne z częstokołami, oraz wzniesiony w najwyższym punkcie miasta drewniany zamek (curia regalis) z wyniosłą wieżą obronną i obserwacyjną.

A jeszcze lepiej i pewniej strzegli go sami mieszczanie, ludzie spokojni i pracowici, ale nie żałujący grosza na ufortyfikowanie miasta i dzielnie stający w jego obronie, ilekroć zaszła potrzeba.

Raz jeden tylko, z końcem piętnastego wieku, watahy nieprzyjacielskie wtargnęły do Sambora, siejąc śmierć i zniszczenie.

Opowiada o tem A. Kuczera w swej monografji miasta, której pierwszy tom właśnie opuścił prasę[1]).

* * *

Działo się to w lecie 1498 roku. Do uszu mieszkańców doszła wieść, że tężna wataha Turków, Tatarów i Wołochów w sile ponad 20 tysięcy ludzi ciągnie na Sambor, paląc i rabując wszystko po drodze. Mieszkańców ogarnęła panika, tem większa, że panowie rajcy postanowili miasta nie bronić, nie czując się na siłach po temu wobec znacznej przewagi dobrze uzbrojonego, a okrutnego wroga.

Rozpoczęła się masowa, paniczna ucieczka. Dniem i nocą, wśród łuny dalekich pożarów, ciągnęły skrzypiące wozy, na których bladzi od trwogi samborzanie wywozili pospiesznie cały swój dobytek.

Opustoszało miasto, opustoszały oba kościoły OO. Dominikanów i Bernardynów. W tym ostatnim pozostało na straży tylko trzech braciszków, Jan, Daniel i Bogusław, przygotowani na pewną, męczeńską śmierć z ręki wroga, której też nie uniknęli..

Hordy Tatarów zalały bezbronne, puste miasto, puszczając je z dymem.

* * *

Stare kroniki opowiadają o niezwykłej odwadze i przytomności umysłu pewnej włościanki, mieszkającej w pobliżu Sambora.

Wszyscy mieszkańcy chaty, uciekli już dawno do pobliskich lasów. A'e kobieta, jak to kobieta: guzdrała się długo, szperała po kątach. Chciałaby zabrać jeszcze i to i tamto... W pewnej chwili, kiedy już gotowała się do wyjścia, spostrzega przez okienko... Tu-

[1]) Aleksander Kuczera: Samborszczyzna. Tom I. wyd. nakładem Księgarni Nauczycielskiej w Samborze.

Z cyklu: Juhasowe baje

Seł juhas upłazem ku Morskiemu Oku,
w ręcach mioł ciupazkę, tórbcynę u boku
a w zębiskach faje; dej tak sie jus patsy:
Kiej se cłek zakuzy, zara mu inacej!

No ! — moi piekni — dzie on se idzie,
Ozmyśla chudzina o juhaskiej bidzie,
(dej o piekne dziwce pogniwoł się z bacom,
a ten jego baca śtraśny beł ladaco!)

No — to seł markotny; I co się nie stało:
półry: śmierć se siedzi w urwisku, pod skałom!
Kose trzimie w łapie, ba wywraca ślepie,
a ze goła beła, z zimna sie telepie!

„Psepytujem pieknie, chuderlawa śmierci,
cozto haw porabias pod skałom, przi perci?
Cegoj to haw sukos, nad lasem smrecanym?
Małoz ci roboty w samem Zakopanem?"

Wyscezyła zęby, poźrała na cłeka,
prawi juhasowi, co na niego ceka!
To jij juhas peda, z juhasowom butom
„Pomreć mi nie pilno! Do grobu nie luto!

Nale, kiejś tu przisła—Kostucho zębata —
zabrać me bidoka prec, z górskiego świata,
gadajże warcieko: cy wej moja dusa
póńdzie prec do piekła albo do Jezusa?"

„Hej! Juhasku miły" — śmierć mu na to gada —
„Co wej z dusom bedzie — nikomu niewiada!
Nic ta nie ukwalis, proci Bożej woli!
Niek cie o twom duse głowa jus nie boli!"

„Moi ślicni - piekni!!" — peda juhas na to —
„Żiwot cłek miał płonny, ma i śmierć garbatom!
Nie stojek ja o to, cobyś me nie brała,
ba ino — byś wprzódzi kose wyklepała!

Dej ci to i krziwe i tępe żeleźce;
takiem me nie zetnies, ba poranis jesce!"
Poźrała śmierć — jucha, śmieje sie cichocem:
„Cemze kose klepać, kiej nima i na cem?"

Ośmiał ci sie juhas śmierci w same ślepie,
„dejze" — pada — kose, jo ci jom wyklepie!"
Wynion se osełke z tórbki pod kozuchem,
picknie kose ostrzy, uwijo się duchem,
i żeleźce prości koziem sadłem maści,
pote poklepuje nad krajem przepaści;
a kiej sie mu rychtig jus ostra zwidziała,
prasnom jom w przepaści, aż sie ozleciała!

I peda do śmierci, kiej stoi bezradnie:
„jakoz to me zetnies, kiej kosa hań — na dnie!?

‚Juz ta z twojej łaski w górak — ba w dolinie
ka ta ino poźreć, ćma ludzisków ginie!
Wypocnij se tera, od ludzkiego żniwa!
Juz sie ta Panbócek, bez to nie pogniwa!

Zapalił se fajke, ba ponaglił kroku,
dej mu pilno beło ku Morskiemu Oku!

A śmierć — złokrew — stoi ba i medytuje
jakoz to se nowom kose wymajstruje! Haj

Or-lik.

ka. Uwiązał już swego konia do płotu i kieruje się ku drzwiom chaty.

Dzielna niewiasta chwyta w rękę ostry topór i staje z nim w sieni. Zaledwie Turek uchylił drzwi i wsunął ostrożnie głowę, — jednem potężnem uderzeniem topora odcina mu głowę, która potoczyła się po ziemi. Nie tracąc przytomności umysłu wciągnęła nasza bohaterka zwłoki do sieni, zatrzaskując drzwi.

Aliści nie upłynęło więcej jak kilkanaście minut, gdy przed chatę nadjeżdża inny Turczyn. Przywiązuje konia do płotu i podchodzi ku zamkniętym drzwiom. I znowu ostry topór spada mu na kark, z tym samym skutkiem co poprzednio, a w sieni przybywa drugi trup.

W krótkich odstępach czasu zabiła dzielna wieśniaczka w ten sam sposób pokolei jeszcze pięciu dalszych Turczynów, — tak, że przy płocie stało uwiązanych ogółem siedm koni z całym ekwipunkiem wojennym.

Po jakimś czasie zajechała przed chatę większa grupa jeźdźców tureckich, których zadaniem było podpalać kolejno wszystkie domy. Skoro ujrzeli uwiązanych do płotu siedm koni, wywnioskowali z tego, że w chacie muszą znajdować się jeszcze ich kompani zajęci rabunkiem. Nie podłożyli tedy ognia i pojechali dalej.

W ten sposób jedna dzielna kobieta zabiła siedmiu Turków i ocaliła własne domostwo od pożogi.

* * *

W latach późniejszych niejednokrotnie jeszcze Turcy i Tatarzy zapuszczali swe zagony aż pod Sambor. Mieszkańcy jednak, nauczeni tem jednem bolesnem doświadczeniem, nie opuszczali już więcej miasta, broniąc się dzielnie za jego fortyfikacjami.

Toteż rozbijały się o mury miasta ataki Turków i Tatarów, — nawet w czasie pamiętnego buntu Chmielnickiego Kozacy, którzy dzięki zdradzie Rusinów zdobyli pobliski Drohobycz, odstąpili od oblężenia Sambora, odparci ogniem śmigownic, hakownic i muszkietów.

Poważne niebezpieczeństwo groziło też miastu podczas wojen szwedzkich, owego historycznego „Potopu", za panowania Jana Kazimierza.

Znaczniejszy oddział Szwedów wpadł do ziemi samborskiej, rabując i niszcząc wszystko po drodze.

Upojeni łatwem zwycięstwem postanowili zdobyć Sambor i poczynili już przygotowania do oblężenia i do szturmu.

Wówczas na pomoc miastu przyszli „Bojkowie". Postacie niesamowite, godne pióra Sienkiewicza: ogorzali, kudłaci, śmierdzący zjełczałym tłuszczem w swoich „huniach" z czarnych baranów, w łapciach skórzanych, uzbrojeni w długie ostre noże i olbrzymie siekiery, widły i kłonice.

Zeszli wszyscy ze swych połonin i gór w Bieszczadach, spiesząc na ratunek „swemu" miastu, stolicy „Bojków".

A wyglądali strasznie poprostu, podobniejsi do jakichś biesów niż do ludzi!

Nie wytrzymali Szwedzi. Po kilku niefortunnych utarczkach ich straży przednich z tymi piekielnikami, — umknęli spod murów miasta, które z otwartemi rękami witało swych nieoczekiwanych oswobodzicieli.

* * *

Miał jednak Sambor i swoje jaśniejsze chwile, zapisane złotemi zgłoskami w kronice miasta.

W murach jego gościł kilkakrotnie Władysław Jagiełło, który nadał miastu liczne i cenne przywileje.

Umiłowała sobie specjalnie Sambor królowa Bona, która chętnie zażywała rozkoszy polowania w okolicznych lasach królewskich. Z jej też nazwiskiem łączy tradycja powstanie herbu miasta — jelenia przeszytego strzałą, — na pamiątkę ubitego przez królowę na polowaniu w Sprynі jelenia. — Ostatnim królem polskim, którego Sambor gościł w swych murach, był Sobieski. Zatrzymał się on w Samborze w roku 1689, idąc na Wołoszczyznę i zostawił tam na zamku na dłuższy czas swoją ukochaną Marysienkę.

Z chwilą przejścia miasta pod okupacje austrjacką zaczyna się jego powolny upadek.

Dopiero obecnie, w odrodzonej i wolnej Polsce, otwierają się przed niem nowe możliwości rozwoju. A posiada Sambor po temu wszelkie warunki: malownicze położenie, śliczne okolice, stanowiące znakomity teren dla turystyki i wszelkich sportów letnich i zimowych, liczne rzeki, bliskość gór, dogodne połączenia kolejowe.

Zasługuje też na żywsze zainteresowanie się tem starem, polskiem miastem, co dobrze pełniło swą powinność w wiernej służbie Rzeczypospolitej.

(k. r.)

Chirurgja w służbie kosmetyki

Wrodzony człowiekowi instynkt samoobrony kazał mu od niepamiętnych czasów walczyć z chorobą i wszelkiemi dolegliwościami fizycznemi.

Równolegle z tem idą wysiłki i starania o zachowanie jaknajdłużej nietylko zdrowia, ale i dobrego, młodzieńczego wyglądu, jak również o usuwanie ewentualnych ułomności, wrodzonych czy nabytych.

Decydowały tu nieubłagane odwieczne przykazania walki o byt, w której ulegają z konieczności jednostki słabsze, pod tym czy innym względem upośledzone.

Te właśnie żywotne, praktyczne względy dały początek osobnej gałęzi wiedzy, nazywanej dziś chirurgią estetyczną, czy kosmetyczną.

* * *

Wiedza to stara, jak świat. Toż już w starych wykopaliskach etruskich i egipskich znajdujemy na to niezaprzeczone dowody, — żeby tylko wspomnieć owe sztuczne zęby, osadzone na prymitywnych „koronach", prawdziwe „protezy", jakbyśmy je dzisiaj nazwali.



Rinoplastyka według sztychu z XVI wieku.

Jedną z najgłośniejszych, a dość rozpowszechnionych operacyj chirurgicznych była tzw. „rinoplastica", tj. przyprawianie sztucznego nosa. Wiadomo nam, że tego rodzaju bądźcobądź, poważne zabiegi chirurgiczne wykonywali w zamierzchłej starożytności kapłani indyjscy w Koomas.

Pacjentami ich byli ludzie, którym obcinano nosy, piętnując ich w ten sposób, jako cudzołożców.

Był to zatem zabieg par excellence zasługujący na miano chirurgji kosmetycznej: szło przecież o przywrócenie normalnego wyglądu twarzy okrutnie zdeformowanej!

Za panowania Augusta chirurgja kosmetyczna rozwija się wspaniale. Jak podaje Cornelius Celsus w swym traktacie „De Medicina", — nie ogranicza się już na usuwaniu następstw przypadkowych, okaleczeń, czy wypadków nieszczęśliwych, — lecz stara się naprawiać nawet wady wrodzone, jak np. „zajęczą wargę" itp.

* * *

Przyszły jednak czasy, kiedy wszelką ułomność czy wrodzoną, czy nabytą uważano za pewnego rodzaju „znak Boży", którego usunięcie uważane było za ciężki grzech. Nie dziw zatem, że w tych warunkach chirurgja nie miała wielkiego pola do działania i nie wykazywała w Europie żadnych postępów.

Tem silniej zato i piękniej rozwijała się u Arabów, którzy w tym czasie przez szereg wieków dzierżą niepodzielnie prymat na tem polu.

Dopiero epoka Renesansu przynosi nowy, świetny rozkwit chirurgji, która z ciemnych zakamarków znachorów i czarnoksiężników wychodzi na pewne światło dzienne, staje się osobną gałęzią wiedzy i uprawianą bywa przez lekarzy.

Z tego okresu datuje się klasyczna operacja tworzenia sztucznego nosa ze skóry ramienia, jak również cały szereg innych operacyj, mających na celu poprawienie estetyki twarzy.

Skoro weźmiemy pod uwagę prymitywny sposób wykonywania tych operacyj, bez odpowiednich narzędzi, bez znajomości zasad anty- i aseptyki, — bez stosowania odpowiednich środków znieczulających, — trudno oprzeć się zdumieniu, że podobne operacje były wogóle możliwe i dawały dobre wyniki.

Widocznie ludzie ówcześni byli o wiele więcej wytrzymali i odporni, niż dzisiaj.

* * *

Najświetniejszy okres rozwoju chirurgji w ogólności datuje się od chwili odkryć Listera i Pasteura, oraz wprowadzenia w użycie środków znieczulających i usypiających, dzięki czemu lekarz może przeprowadzać każdą, najcięższą nawet operację, nie narażając pacjenta na nieznośny ból, przy przestrzeganiu jaknajściślejszej aseptyki.

Największe zaś triumfy święci chirurgja po wielkiej wojnie światowej, w wyniku której tysiące i setki tysięcy straszliwie pokaleczonych i zdeformowanych ludzi zmuszone były szukać ratunku w chirurgji estetycznej. Wówczas też pokazała się w całej pełni i właściwem świetle jej wartość i znaczenie. Chirurgja estetyczna bowiem, — jak ją definjuje Dartigues — obejmuje wszystkie te operacje o charakterze plastycznym, mające na celu usunięcie naturalnych lub nabytych defektów cielesnych, mogących obniżyć wartość osobistą i socjalną danej osoby.

* * *

Jest jednak jeszcze i drugi, niemniej obszerny dział chirurgji estetycznej, również rozpowszechniony od niepamiętnych czasów we wszystkich rasach i narodach świata.

Dział niesłychanie bogaty i urozmaicony, — zależnie od pojęć estetycznych danego narodu. Bo pamiętać trzeba, że pojęcie piękności było zawsze rzeczą względną, — że zupełnie inaczej wygląda ideał piękności w starożytnej Grecji, niż w Chinach, czy w państwie Inkasów lub u pierwotnych szczepów afrykańskich.

Kiedy więc np. u Chińczyków ideałem piękna kobiecego była potwornie ściśnięta i wykręcona stopa, szczepy murzyńskie w Kongo za najpiękniejszą ozdobę kobiety uważają wargę górną, rozszerzoną i wydłużoną sztucznie w ten sposób, że przypomina wyglądem swym i rozmiarami spory płaski talerzyk.



Sztuczne zęby, znalezione w grobowcu etruskim we Włoszech.

Hipokrates już opowiada, że starożytni Scytowie deformowali sztucznie głowy małych dzieci; starożytni Inkasi za szczyt piękna uważali wyciągnięte sztucznie obwisłe uszy (stąd nadawana im przez Hiszpanów pogardliwa nazwa „klapouchów").

A na wyspach Tasmanji mężczyzna żonaty paraduje do dziś dnia z dziwacznemi ozdobami i talizmanami sporządzonemi ze skorup żółwi, a zwisającemi mu z przedziurawionych skrzydeł nosa.

Najczęstszym jednak i najpopularniejszym zabiegiem kosmetycznym było przekłuwanie uszu, by zawiesić na nich jakieś ozdoby czy kolczyki. Zwyczaj ten przetrwał aż do naszych czasów — od niedawna dopiero zaczyna zanikać, dzięki rozmaitym „klipsom" i podobnym pomysłowym urządzeniom, umożliwiającym zawieszenie jakiejś ozdoby bez konieczności uciekania się do tego, drobnego coprawda, lecz barbarzyńskiego i zupełnie niepotrzebnego zabiegu.

* * *

Dzisiaj zakres działania chirurgji estetycznej rozszerzył się stokrotnie. Otworzyły się zupełnie nowe możliwości, nowe wyłoniły się problemy i potrzeby.

Abstrahujemy tu od zabiegów „odmładzających", mających na celu sztuczne przywrócenie młodocianego wyglądu, zabiegów sprzecznych z naturą i przyrodzonym porządkiem rzeczy.

Ale w dzisiejszych warunkach, przy tak ciężkiej i zaostrzonej walce o byt, jest rzeczą zupełnie zrozumiałą i naturalną, że człowiek stara się o usunięcie każdego najdrobniejszego nawet defektu w swym wyglądzie zewnętrznym. Bo przecież, „jak się widzą, tak cię piszą".

Młoda, choćby najinteligentniejsza osóbka z płaskim „kaczym" nosem, czy zezowata lub z dużemi odstającemi uszami i nadmiernie szerokiemi i grubemi wargami, nie wytrzyma konkurencji ze swą rówieśniczką, obdarzoną od natury regularnemi rysami twarzy i zgrabną figurą.

Każda taka, drobna choćby ułomność działa deprymująco, odbiera pewność siebie, ochotę do życia, stać się może przyczyną cierpień moralnych i niepowodzeń życiowych.

W tych wypadkach chirurgja estetyczna przychodzi ze skuteczną pomocą. Dzięki zaś olbrzymim postępom wiedzy lekarskiej i techniki, operacje tego rodzaju, wykonane oczywiście przez fachowców — nie przedstawiają żadnego poważniejszego niebezpieństwa. Jedyna ich wada, — że są stosunkowo bardzo kosztowne.

(Dr. L.)

Tragedja wielkości

Między pismami **Napoleona Bonaparte** znalezione zdanie, napisane w czasie uwięzienia na wyspie św. Heleny: **„Niech mój syn często studjuje historję i nad nią się zastanawia, albowiem jest to jedynie prawdziwa filozofja“** [1]).

Nauka historji godnie spłaciła Napoleonowi dług wdzięczności za te pochlebne słowa. Poświęciła mu tysiące tomów i setki umysłów najsławniejszych historyków świata. Nieraz też rozważano losy i czyny „Cesarza Francuzów“ z punktu widzenia etyczno-filozoficznego.

Obecnie, z okazji odnalezienia niezwykle cennych 318 listów Napoleona do swej żony Marji Ludwiki z okresu lat 1811—1814, stanęła jeszcze raz przed oczyma całej cywilizowanej ludzkości tragedja jednego z największych ludzi, jakich znają dzieje.

(Nowo odkryte listy publikuje w chwili obecnej szereg gazet francuskich z „Le Temps“ na czele, oraz niemiecki tygodnik „Die Woche“).

Jeśli istotą tragizmu jest walka wewnętrzna, łamanie się z sobą samym lub też beznadziejne zmaganie się człowieka z losem, okolicznościami, w jakich wypadło mu żyć i działać, to trzeba uważać Napoleona za jedną z najtragiczniejszych postaci w dziejach świata. Tem bardziej wydaje się to słusznem, że i ta tragedja zakończyła się smutnie męczarnią duchową na wyspie św. Heleny i nędzną śmiercią głównego aktora. A przecież, kiedy się wniknie głębiej w osobistość Napoleona, wypada stwierdzić, **że zarodki jego tragedji tkwiły już w nim samym.** Podejdźmy też do „boga wojny“ od strony jego „wewnętrznej“, odsuńmy nabok chwałę wojenną, genjusz organizatorski i nieuchwytny **wpływ** magnetyczny na swoje otoczenie, **a spróbujmy odnaleźć w zjawisku dziejowem, któremu na imię Napoleon, człowieka.** Nie chodzi o ową namiętną pasję odkrywania słabostek ludzkich, o „szukanie dziury na całem“, w czem tak kochają się współcześni „odbronzowiacze“, ale o uchwycenie istotnej pobudki ludzkich czynów.

Stwierdzili zgodnie ludzie Napoleonowi współcześni i takie przyjęło się też zdanie w dziejopisarstwie, że **głównym motorem jego czynów** genjalnych lub mniej genjalnych **była ambicja, żądza sławy,** to, co Niemcy nazywają „Ehrgeiz“. Pozwolimy sobie stwierdzić, że ten rys charakteru, wyolbrzymienie własnej osoby i własnej wartości, **religja chrześcijańska nazywa pychą** i uważa ją za korzeń **wszystkich grzechów ludzkich. Jest to owo zapatrzenie się w siebie,** oparte na wierze w własną historyczną rolę, zaślepienie, które każe człowiekowi nie widzieć faktów dla siebie niewygodnych, a wszędzie i zawsze stawiać swoją osobę wyżej od innych ludzi. Takie zapatrzenie się w swą wielkość musi wkońcu doprowadzić choćby najgenjalniejszego człowieka do zguby, bo gdzie brak trzeźwości w ocenianiu sił, tam zawsze czeka na końcu klęska. Popatrzmy tylko, jak oceniał Napoleon swą rolę w świecie [2]):

„Gdybym pozostał na tronie, umarłbym ze sławą największego człowieka, jaki kiedykolwiek żył. Ponieważ jednak nie osiągnąłem swego celu, traktuje się tylko mnie jako wyjątkowego człowieka, ponieważ moje wyniesienie się było bezprzykładne, a przecież dokonało się bez zbrodni! Stoczyłem 50 regularnych bitew, które wygrałem prawie wszystkie. Ułożyłem kodeks praw i wprowadziłem go w życie, kodeks, który przekaże moje imię potomności. Z nicości wzniosłem się na stanowisko najpotężniejszego władcy świata. Europa leżała u moich nóg. Moja żądza sławy była wielka, przyznaję, ale była ona zimna i wyrachowana, wywołana przez wypadki i sądy wielkich ludzi. — „Jakkolwiek chciałoby się mnie przeinaczyć, zgnębić lub zniweczyć, przyjdzie to mym wrogom bardzo trudno, abym za całkiem zniknął, gdyż czyny mówią i błyszczą jak słońce. **Zasypałem przepaść anarchji i wyjaśniłem chaos. — Oczyściłem rewolucję, uszlachetniłem narody, utwierdziłem trony (!!).** Zachęciłem wszystkie talenty, nagrodziłem wszystkie zasługi i rozciągnąłem dalej granice sławy. O co możnaby mnie oskarżyć, przed czem pisarz nie mógłby wziąć mię w obronę? Czy o moje zamiary? Będzie miał dosyć moich czynów, aby mię uwolnić. Czy o mój despotyzm? On wykaże, iż dyktatura niezbędnie była konieczna. Czy o to, że położyłem kres wolności? A przecież on udowodni, że puszczenie cugli, anarchja groziły na progu wielkiemi zamieszkami. Czy o to, że zbyt kochałem wojnę? On wykaże, iż zawsze byłem zaczepiony. Że dążyłem do monarchji światowej? To było tylko przypadkowe dzieło okoliczności i nasi wrogowie prowadzili mię do niej krok za krokiem. **Czy o to, że miałem żądzę sławy, ambicję? Tak, ambicję historyk znajdzie u mnie, ale największą i najszczytniejszą, jaka kiedykolwiek była. Mianowicie tę, aby wreszcie stworzyć i uświęcić państwo rozumu, pełny rozwój i całą umiejętność użycia wszystkich ludzkich zdolności!** I tu będzie zmuszony historyk żałować, iż taka ambicja nie została zadowolona ani taka chęć spełniona“.

Dodajmy do tego słowa, wypowiedziane przez Napoleona do generała bawarskiego Wredego w lecie 1811 r.: **„Jeszcze trzy lata, a będę panem świata!“,** a będziemy mieli gotowy obraz jednostki **o poglądzie na świat skrajnie egocentrycznym, który musi doprowadzić tę jednostkę do katastrofy.** Nie wchodzimy w to, czy jednostka genjalna, jaką niewątpliwie był Napoleon, ma prawo mówić tak o sobie, jak to wyżej przytoczyliśmy i czy jego słowa są prawdziwe, chodzi tylko o stwierdzenie, że sam fakt mówienia w ten sposób o sobie świadczy o tem, iż **„ja“ zasłoniło Napoleonowi resztę świata. I dlatego przedewszystkiem przyszły władca „universum“ w trzy lata po rozmowie z gen. Wrede był więźniem skoalizowanej Europy na Elbie.**

Jeśli słusznem jest zdanie, że człowiek tworzy epokę (wszak słusznie mówimy o epoce napoleońskiej), to istnieje też pewnik, **że epoka tworzy człowieka. Napoleon, choć był genjuszem, stanowi przecież nieodrodne dziecko XVIII. stulecia,** owego wieku pysznego, zarozumiałego, który wypowiedział walkę Bogu i religji w imię ludzkiej mądrości, który wierzył w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej i w nieustanny postęp ludzkiej cywilizacji. **Charakterystycznym jest stosunek Napoleona do religji.** Wierzył, że poza naturą ludzką coś Boskiego istnieje, ale uważał religję za wymyślone przez ludzi, choć doceniał ich ogromną siłę społeczną. Jakże wymowne są słowa tego prawego ucznia osiemnastowiecznych filozofów [3]): „Aby zakończyć wojnę (domową — przyp.) w Wandei, stałem się katolikiem, jako muzułmanin umocniłem się w Egipcie i jako ultramontanin pozyskałem wszystkie umysły we Włoszech. **Gdybym rządził narodem żydowskim, odbudowałbym świątynię Salomona.** W ten też sposób mówiłem o wolności we wolnej części San-Domingo; potwierdziłem niewolnictwo na wyspie Ile de France, a nawet w innej części San-Domingo“. — Z wieku XVIII. kosmopolitycznego i amoralnego, nie wyniósł Napoleon zrozumienia dla spraw moralnych i narodowych. Uważał śmierć nieszczęśliwego księcia d'Enghien jak i uwięzienie Papieża Piusa VII. przez szereg lat we Francji za sprawy czysto polityczne, podczas gdy one miały znaczenie przedewszystkiem moralne i moralne też wywoływały oburzenie. — Uznawał, że niepowodzenia wojenne w Hiszpanji zadały stanowczy cios sławie niezwyciężonej armji napoleońskiej, ale nie mógł zrozumieć, **że wojna w Hiszpanji i Rosji, a później kampanja w Niemczech w r. 1813 to były wojny uświadomionych narodów przeciw obcemu najeźdźcy.** Owe pojęcia, wyniesione z XVIII. stulecia w połączeniu z zasłaniającem mu świat wywyższeniem własnej osoby gubiły go w decydujących chwilach. **Wiara w własną potęgę kazała mu łudzić się do ostatniej chwili.** W jednym ze świeżo odnalezionych listów do Marji Ludwiki z r. 1814, sądził, że Burboni nie potrafią wrócić do Paryża i utrzymać się na francuskim tronie; łudził się do ostatniej chwili, nawet po bitwie pod Waterloo wierzył w swoje ocalenie, wtedy, gdy Fouche, stary lis, jego minister policji przepowiadał, że władza Napoleona skończy się po trzech miesiącach. Najgorzej pomylił się Napoleon oddając się, w ręce Anglików, u których, w miejsce gościny czy spokojnej banicji, znalazł haniebną niewolę. Dodajmy do tego, że Napoleon, człowiek, który uważał, iż [4]) „kobieta jest nato dana mężczyźnie, aby mu rodziła dzieci“ i który twierdził, że [4]) „ani nie chciałem ani nie mogłem być zakochanym“. Miłość jest stworzona dla innych charakterów niż mój. Mnie pochłonęła całkowicie polityka“, ten Napoleon zakochał się w młodej a niegodnej go młodej żonie, Marji Ludwice i na tem polu także zawiódł się srogo.



Napoleon w bitwie pod Arcole (według obrazu Gros'a)

Wszystkie jednak owe błędy i omyłki pozwalają ugiąć czoło przed wielkością, i genjuszem Napoleona. **Bo genjusz może nie mieć świadomości swego znaczenia i celu, a przecież wpłynąć na dzieje świata. Błędy genjusza powodują jego upadek, świat korzysta tylko z zasług.**

Napoleon, dziecko XVIII wieku, nie rozumiejący narodowych aspiracyj, wywołał je mimowoli; pogromca rewolucji francuskiej, rozniósł jej hasła, i idee, po całej Europie; chciał stworzyć monarchję uniwersalną z sobą jako władcą na czele a wywołał szybszy rozwój świadomości politycznej u wszystkich narodów Europy. Ocenił ten jego wpływ na losy świata, drugi, współczesny mu genjusz, Goethe, twierdząc, że Napoleon służył nieświadomie ideom i urzeczywistniał je, choć sam temu zaprzeczał [5]).

— Cokolwiekbyśmy mówili o powodach tragedji „boga wojny“, była ona wstrząsająca. Zamknięty na dalekiej wyspie, opuszczony przez wszystkich najbliższych, widząc dzieło swoje, jak się wówczas wydawało, zupełnie zniszczone, zostawił potomności dokument, swego cierpienia zatytułowany: „Mój ostatni protest przeciw niegodnemu postępowaniu Anglji“ [6]; „Oddałem się w ręce angielskiego narodu, aby zasiąść przy jego ognisku. Żądałem gościnnej, pełnej szacunku przyjaźni, a przecież wbrew wszelkiemu prawu narodów zakuto mię w kajdany! Cesarz Franciszek (austrjacki — przyp.) przyjąłby mię inaczej. Nawet król pruski obszedłby się ze mną bardziej wielkodusznie. Przyjąłby mię z poważaniem. Jednak Anglji, przypadł ten los w udziale, aby namówić i przekonać władców oraz dać światu dotychczas niewidziane widowisko, że cztery wielkie potęgi uderzają na jednego człowieka. Angielskie ministerstwo wybrało na moje więzienie tę ohydną skałę, gdzie Europejczyk normalnie może żyć tylko trzy lata. A jak traktowano mię, odkąd przebywam na tej nędznej skale? Niema niczego tak niegodnego, tak wstrętnego, zapomocą czego nie usiłowanoby mi z radością zadać krzywdy. Odmówiono mi najniewinniejszego połączenia się z moją rodziną, czego nikomu się nie wzbrania. Nie pozwolono dotrzeć do mnie z Europy, ani jednej wieści, ani jednej gazecie, któraby wpierw nieprzeszła przez angielskie ręce. Moja żona, nawet mój syn dla mnie już przestali żyć. Przez sześć lat dręczono mię przez to, że utrzymywano wszystko, przede mną w tajemnicy. Na tej tak niegościnnej wyspie wyszukano mi na mieszkanie, najmniej dla tego celu odpowiadającą część, mianowicie tę, gdzie morderczy, tropikalny, klimat daje się najwięcej odczuwać. Ja który przemierzyłem na swym koniu całą Europę, musiałem zamknąć się w swych czterech ścianach w niezdrowem powietrzu. Z zimną rozwagą, powoli zamordowano mię! niegodziwy Hudson Lowe (gubernator wyspy — przyp.) był pachołkiem posłusznym machinacjom angielskich ministrów!

Anglja skończy tak, jak dumna republika Wenecji (upadła pod koniec XVIII. w. — przyp.). Ja jednak, który kończę dni mego życia na tej odrażającej skale, obrabowany ze wszystkiego, co moje, ze wszystkiego obdarty, ja zapisuję w testamencie hańbę i ohydę mej śmierci, panującej w Anglji, rodzinie królewskiej! (Rodzina ta panuje do dziś — przyp.) Wstrząsający ten dokument pisany na kilkanaście dni przed śmiercią (19 kwietnia 1821). jest tem tragiczniejszy, że daje wyraz jeszcze jednemu złudzeniu Napoleona co do upadku Anglji.

Jeśli postęp świata polega nie na samych tylko zwycięstwach i triumfach, ale także na klęskach, walkach i tragedjach, to Napoleon Bonaparte przyczynił się do postępu ludzkości.

Legenda napoleońska kwitnie do dziś siaj; szczytowym jej dniem była chwila sprowadzenia zwłok „Wielkiego Korsykanina“ z wyspy Heleny do Paryża 15-go grudnia 1840 r. Wtedy to Victor Hugo napisał przepiękny wiersz na powitanie zwłok Napoleona:

„Sire, vous reviendrez dans votre capitale,
Sans tocsin, sans combat, sans lutte et sans fureur,
Trainé par huit chevaux sous l'Arche triomphale,
En habit d'Empereur.
Par cette meme porte ou Dieu vous accompagne,
Sire, vous reviendrez, sur un sublime char,
Glorieux, couronné, saint comme Charlemagne
Et grand comme Cesar....

WITOŁD NOWOSAD

---

[1]) Fournier: Napoleon I. t. III: str: 290.
[2]) F. D. Kircheisen: Memoiren Napoleons, str. 290; 291; 319.
[3]) Kircheisen: Memoiren Napoleons, str. 290.
[4]) Memoiren, str. 185.
[5]) Fournier: Napoleon I. str. 49. t. III.
[6]) Memoiren, str. 338

Obżydzanie ortografji polskiej

Było to w lecie 1921 roku. W pewnej chwili na rozsłonecznione ulice Warszawy wypadła zgraja małych gawroszów z brutalnym, przenikliwym krzykiem: „Wielki manifest do Narodu!“ Za trzydzieści marek.

Przez ramię przewieszone olbrzymie płachty papieru, coś jak długie ręczniki... nagłówek: „JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW“. Kupiłem. I gdzieś w zacisznym kącie ślicznego Ogrodu Ujazdowskiego, pod krzakiem cudownego różowego bzu, siedząc na ławce rozczytywaliśmy się długo w tym humorystycznym „manifeście do Narodu“, w którym osławiony Bruno Jasieński dawał niepohamowany upust swej fantazji, z wrodzonym mu tupetem i agresywnością.

A było co czytać — i z czego się śmiać. Poprostu zatrzęsienie manifestów: i z Krakowa i z Warszawy i z „Sandomierskiego“ (ze skromnością, cechującą wszystkich prawdziwie wielkich ludzi, ogranicza się Jasieński do ogólnikowego określenia „W Sandomierskiem, 21 marca 1921“... Przyszły historyk literatury będzie miał trochę kłopotu z ustaleniem dokładnem miejscowości, w której epokowy ten manifest ujrzał światło dzienne!...)

I jakie mocne słowa, jakie szerokie programy!:

„Ogłaszamy wielką wyprzedaż starych rupieci. Sprzedaje się, za pół darmo stare tradycje, kategorje, przyzwyczajenia, malowanki i fetysze!

Wielkie ogólno - narodowe panopticum na Wawelu.

Będziemy zwozić taczkami z placów, skwerów i ulic nieświeże mumje mickiewiczów i słowackich. Czas opróżnić postumenty, oczyścić place, przygotować miejsca tym, którzy idą“...

W drugim znów „manifeście“ orzeka bezapelacyjnie, że „bezwzględną wartość dzieła sztuki waha się pomiędzy 24 godzinami a miesiącem“, — przedłużając u nas łaskawie ten termin do jednego roku.

I naturalnie — zgodnie z uświęconą tradycją podobnych „najwyższych manifestów“ poleca kategorycznie „odczytać je we wszystkichh związkach artystycznych, klubach, zjazdach itd.“.

Odczytałem go nabożnie — i schowałem, na wieczną rzeczy pamiątkę. Manifest spełnił swój cel, jako „prawdziwe dzieło sztuki“: dał czytającym parę godzin zabawy, a autorowi sporo groszy. Bo na te polskie grosze był jednak pan Bruno bardzo łakomy...

Nie wywołał manifest żadnej rewolucji. Przeszedł bez echa. A pan Bruno, po rozmaitych ewolucjach, pojechał wreszcie do Sowietów. Upodobał sobie ten kraj wszelkich możliwości, gdzie można jeszcze „épater le bourgeois“ żonglerką płytkich frazesów, gdzie wedle jego historycznego manifestu A+B = F, a 2×2 daje 777.

Chociaż i tam jakoś przycichł, zrezygnował ze swych światoburczych haseł...

Były jednak i u nas chwile, w których przypominały nam się buńczuczne słowa Jasieńskiego o „wywożeniu mumij i opróżnianiu postumentów“...

Aż obecnie, — po czternastu latach, rozkoszną tę „Jednodniówkę“... wydobyłem ze szuflady. Z prawdziwem rozrzewnieniem przeczytałem sobie „Manifest w sprawie ortografji fonetycznej“ Dan w Sandomierskiem, 25 marca 1921.

Jakież to wielkie prawdy objawia nam w tym manifeście Bruno Jasieński? Właśnie ten Jasieński, który nie miał i nie ma żadnej legitymacji do zabierania głosu w sprawie pisowni rdzennie polskiej?

Oto kwintesencja jego wywodów. Cytuję w jego oryginalnej pisowni:

> Absurdem jest dla wyrażeńa jednego i tego samego dźwięku używańe 2 rużnych znakuw... Pisowńa w swoim rozwoju zdążać musi do jaknajwiększej syntetyzacji i skrutuw. Ideałem każdego pisma jest stenografja.

„Ogłasza“ zatem wykreślenie raz na zawsze z alfabetu polskiego liter ó, rz, ch, — wystarczą litery u, ż, h. Pozatem — pisownia ściśle fonetyczna, jako jedynie racjonalna i uzasadniona. Precz z wszelkiemi „absurdami z balastem zbyteczności i dziwactw ortograficznych!“

Ostatni, szósty punkt „manifestu“ brzmiał dosłownie:

> „W pszekonańu, że reforma nasza ortografji polskiej oparta na zasadah fonetycznyh jest jedyńe słuszną, uzasadńoną i wygodną, — wzywamy wszystkih obywateli polskih do wprowadzeńa jej w życie z hwilą ogłoszeńa ńińejszego mańifestu.
>
> Zwracamy śę do kierowńikuw szkuł, nauczyćeli ludowyh i gimnazjalnyh, także do Ministerstwa Wyznań Religijnyh i Oświeceńa publicznego z żądańem wprowadzeńa jej ńezwłocznego w szkołah elementarnyh, średnih i wyższyh“.

Bo nagle — manifest ten zaczyna nabierać u nas aktualności. Przebąkiwało się początkowo, dziś mówi się już całkiem głośno i bez żenady o konieczności „uproszczenia“ pisowni polskiej, z oparciem o fonetykę.

Wprawdzie i na polu ortografji nastąpiło zupełne zrównanie stanów. Odtąd już zakochana służąca, — pardon „pomocnica domowa“, pisząc list do narzeczonego i donosząc mu, że w niedzielę ma „wyhut“, nie będzie potrzebowała wstydzić się nawet profesora uniwersytetu, który dotąd z obrzydzeniem patrzał na podobne horrenda. Zniknie „obrzydzenie“, — pozostanie „obżydzeńe“. A czy nie o to właśnie chodzi apostołom nowej ortografji?

Objaw to niesłychanie charakterystyczny dla kultury polskiej w okresie ostatniego lat dziesiątka. Demokratyzację społeczeństwa pojmuje się u nas w ten sposób, iż zamiast dążyć do osiągnięcia pewnego — mniej lub więcej wysokiego — poziomu, spycha się warstwy wyższe gwałtownie ku dołowi. Niech będzie jeden wspólny poziom — ale możliwie najniższy. Poziom intelktu Magdy od krów i pani Wojciechowej z bramy. Więc skoro Magda i Wojciechowa — jeśli wogóle umieją pisać, to piszą nie licząc się z zasadami ortografji (której pojęcie jest dla nich obce), — niechże wszyscy inni nie zawstydzają tych biedaków swoją poprawną pisownią. Jak równość, to równość. A językowi to przecież nic nie zaszkodzi. Temu językowi Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, Żeromskiego...

* * *

Otóż właśnie, że zaszkodzi. Język nasz nie jest martwym, to pewne. Choć są inne, trudniejsze. Francuski, angielski, z ich skomplikowaną pisownią i jeszcze bardziej zawiłą ortografją.

Wyobraźmy sobie takiego śmiałka, który chciałby naprzykład „uprościć“ pisownię francuską w myśl „manifestu“ Jasieńskiego. Precz z wszelkim balastem niepotrzebnych liter! A więc „matka“ pisałoby się fonetycznie „mer“, — zupełnie taksamo, jak „morze“ czy „burmistrz“. Bo Francuz na jeden dźwięk E ma kilka różnych znaków: E, AI, EI, E (z daszkiem).

I jeżeli konsierżka paryska, i tak pisząca nieortograficznie, nie wzruszyłaby się podobnym projektem, to conajmniej dziewięć dziewiątych całego narodu podniosłoby potężny krzyk protestu.

Cóż dopiero mówić o pisowni angielskiej i jej wymowie, sprawiającej nawet rodowitemu Anglikowi takie trudności? Gdzie spojrzeć — każdy język ma swoje właściwości, swoje subtelności fonetyczne, zarówno w Rumunji czy Czechosłowacji, jak w Niemczech, Włoszech czy nawet w sowieckiej Rosji. To jest właśnie bogactwo, wiekowy dorobek każdego języka. Tego nie można i nie wolno usuwać za jednym zamachem, nie wolno tworzyć jakiegoś śmiesznego, symplicystycznego surogatu! Równałoby się to obniżeniu kultury narodu, nie przynoszącemu nikomu pożytku, — i owszem, wszystkim wielką, trudną do odrobienia szkodę.

Temwięcej dziś, gdy donośnie brzmią hasła walki z analfabetyzmem, — podobne „uproszczenia“, których heroldem był ongi właśnie Bruno Jasieński, byłyby poprostu zbrodnią, popełnioną na najcenniejszym skarbie narodu, od wieków, za dobrych i złych czasów zawsze jednako pieczołowicie strzeżonym.

I jeszcze jedno: Mam przed sobą ów „manifest“ futurystów. Idzie mi tu o wrażenia czysto wizualne. Jak przed czternastu laty, taksamo zupełnie i dziś śmiech mnie ogarnia, gdy przebiegam oczyma szpalty tej jedniodniówki i czytam dosłownie:

> „Żyće płyńe napszud i ńe powtarza śę
> Sztuka jest twożeńem żeczy nowyh.
> Każdy twurca własnego żyća i żyća ogulnego.

Wyobraźmy sobie całą książkę, pisaną w identyczny sposób. Chociaż nie: w dalszej, nieuniknionej konsekwencji książka drukowana stałaby się rzeczą niepotrzebną. Chyba, conajwyżej, słownik egipski, stanowiący lekturę i Magdy i Wojciechowej. A czy w takim słowniku „hlep“ i „hlef“ „żeka“ i „gżeh“ pisać się będą, tak czy inaczej, niech nas o to głowa nie boli! Doloj gramotnyje!

K. RYCHŁOWSKI

Rocznica Chopina w Polskiem Radjo

Tydzień ubiegły Polskiego Radja stał pod znakiem 125-tej rocznicy urodzin Fryd. Chopina i obdarzył nas szeregiem audycyj o nieprzeciętnym często poziomie artystycznym, oraz transmisyj, względnie reportaży z podobnych uroczystości zagranicą. Spłynęły ku nam dźwięki naprzemian mocne jak spiż, to mieniące się tysiącem barw i odcieni, a zawsze drogie i bliskie, nieodłączne już sercu polskiemu, przewinął się przed nami szereg pianistów i pianistek, reprezentujących prawie trzy generacje, a może i tyleż stylów odtwórczych u Chopina, padły wreszcie słowa wielbiące genjusz muzyczny, pierwiastki ideowe w tej twórczości zawarte, jej zespolenie idealne z duszą zbiorową Polski. Trzy świetne pianistki: Ottawowa, Rabcewiczowa i Robowska, ukazały nam Chopina, stylistycznie zrównoważonego, u Ottawowej skłaniającego się ku linjom miękkim, łączącym poetycki polot z wytworną formą, u Rabcewiczowej i Robowskiej akcentującego znowu bardziej pierwiastek męski, rycerski w jego muzyce, o kantylenie wolnej od wszelkich naleciałości i przepuszczonej przez filtr dojrzałej koncepcji artystycznej.

Dość liczna grupa pianistów młodej i najmłodszej generacji — w osobach: Brachockiego, Dygata, Kona, Lewieckiego, Łabuńskiego, Smidowicza i Sztompki — pozwoliła nam znowu zapoznać się z pewnemi odmianami czy odchyleniami w ujęciu pianistyki Chopinowskiej, nietylko między przedstawicielami dwóch generacyj i odmiennych niekiedy tradycyj, ale i pośród wychowanków tego samego kierunku jak np u Sztompki (bardziej refleksyjnego) z jednej, a Brachockiego i Dygata z drugiej strony. Zadanie to porównawcze ułatwiała jeszcze okoliczność, iż niektóre utwory podano kilkakrotnie, jak np. koncert f-moll (Dygat i Kon), lub poloneza As-dur, którego usłyszeliśmy nawet trzykrotnie, coprawda w rozmaitych warunkach akustycznych, bo z Filharmonji Warszawskiej (Robowska), ze studja P. R. (Brachocki i z największej sali koncertowej w Berlinie (Marmorsaal) w wykonaniu C. Hansena.

Na wyróżnienie zasługuje przytem fakt, iż dzięki zestawieniu w jednym programie wszystkich utworów Chopina napisanych na fortepian z orkiestrą, usłyszeliśmy i dzieła rzadziej (dlaczego?) grywane, jak np. „Krakowiaka“ lub „Warjacje na temat z „Don Juana“, które zjednały ongiś młodemu Chopinowi, udającemu się zagranicę, zachwyty prasy wiedeńskiej.

Twórczość w zakresie muzyki wokalnej u Chopina, na którą składa się siedmnaście pieśni, nie jest, jak wiadomo, jego najsilniejszym atutem. Trudniej jednak dociec, dlaczego na estradzie koncertowej słyszy się wykonywane wkółko te same pieśni, jak np. „Moja pieszczotka“, lub zwłaszcza „Życzenie“, a rzadziej już najcenniejszą może z nich, „Piosenkę litewską“. Natomiast zupełnie chybione artystycznie wydaje nam się wtłoczenie cudownej Etiudy E-dur, tej „najpiękniejszej melodji Chopina“ w ciasne ramy pieśni, obdarzonej jeszcze sentymentalnym tekstem (popularny „Żal“).

W ramach transmisji uroczystości otwarcia instytutu polsko - niemieckiego w Berlinie, znalazł się w części koncertowej — obok aryj operowych, śpiewanych przez Kiepurę — także kąt dla Chopina, wypełniony szeregiem utworów mniejszych rozmiarami, w interpretacji wspomnianego już Conrada Hansena, pianisty młodego i bardzo uzdolnionego, ale mało, zdaje się, predestynowanego do odtwarzania dzieł najsubtelniejszego z romantyków w muzyce XIX w. W dziale literackim, czy literacko - muzycznym, usłyszeliśmy w tym okresie słuchowisko pt. „Życie Chopina“, utwór poetycki Norwida „Fortepian Chopina“, przepięknie wygłoszony przez Tad. Bocheńskiego, feljeton ze Lwowa „Jak umierał Fr. Chopin“ i reportaż z Drezna, omawiający uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej, wmurowanej na domu, w którym mieszkał Chopin w latach 1829 i 1836.

Wreszcie godzi się wspomnieć pogadankę prof. Niewiadomskiego, poprzedzającą transmisję festivalu z Filharmonji Warszawskiej, podaną we formie jak zawsze — gładkiej, przejrzystej, a przytem treściwej, oraz słowa Paderewskiego o Chopinie, odczytane na samym wstępie uroczystości, słowa unoszące się nad niemi w dalszym ich ciągu, piękne i mocne w swem uwielbieniu wielkości genjuszu i odczuciu wcielania się i przenikania wzajemnego duszy jednostki i duszy zbiorowej całego narodu.

est.

Z warszawskiego Teatru Nowego

„Miss Ba"

Romantyczne dzieje Roberta Browninga i Elżbiety Barrett przypomniała u nas p. Zuzanna Rabska, tłumacząc i ozdobnie wydając książkę Giorgii Pisano „Jak kochano przed stu laty". Trafnie dobrany tytuł! Bo jeżeli cofniemy się w przeszłość o jaką lat setkę, a w szczególności zbłądzimy do Anglji owych czasów, natrafimy na jaskrawe przeciwieństwo dzisiejszych obyczajów. Tu włosy krótko obcięte, głębokie dekolty, samotne eskapady młodych panien (niekoniecznie zresztą samotne, często też we dwoje), pełne uświadomienie, śliska rozmowa, pogarda dla wszelkiej poezji i chęć użycia — tam warkocze, krynoliny, pruderja, troskliwa opieka rodzicielska, bałwochwalcza cześć dla form zewnętrznych, estetyczne uniesienia. Z jednej strony powściągliwość, z drugiej swoboda. To wyradza się w hipokryzję, tamto w cynizm. Niebrak i naszym i owym czasom rysów ujemnych i śmieszności. A przecie bez zbytniego ryzyka można powiedzieć, że z dwojga złego dawniej było lepiej. Bo przecież lepsze skrępowanie od rozwydrzenia, a kto ma wolność we wszystkiem, ten nietylko nieraz na złe jej użyje, ale i poprostu nie umie jej ocenić..

Pośród mieszczaństwa angielskiego, nieraz należącego do sekt purytańskich, panował pogląd na świat, oparty na Starym Testamencie. Domy roiły się od dzieci, a ojciec rodziny uważał się za patrjarchę. Jego wola musiała być święta, a władzy tej boleśnie nadużywano. Nieszczęśliwem bywało młode pokolenie, gdy ojcem tym był surowy, oschły dziwak.

Takim właśnie był ojciec wielkiej poetki Elżbiety Barrett. Jedenaścioro dzieci, osieroconych przez matkę, drżało przed jego srogiem obliczem. Lada żart niewinny, lada weselsze spojrzenie uważał za występek przeciw moralności. A o małżeństwie nawet wspomnieć nie pozwalał — uważał widocznie, że sam dość zrobił dla pomnożenia ludności kraju.

W tem środowisku wzrosła Elżbieta. Wątłą z natury, przykuł upadek z konia na długie lata do łoża, zresztą uszkodzenie kręgosłupa miało pozostać jej na całe życie, zagrażała jej nadto choroba płucna, a wszystko potęgowała fałszywa hygiena owych czasów, wzbraniająca powietrza i słońca, a widząca ratunek dla biednej dziewczyny w karmieniu jej bifsztykami i zalewania porterem, który ledwie mogła przełknąć ze wstrętem. Więdła tedy Elżbieta, znana już jako genjalna poetka, w pokoju dużego, posępnego domu na Wimpole Street, i oczekiwała śmierci wybawicielki.

Aż zjawił się inny wybawiciel — Robert Browning, który z trudem zdobywa, w owym czasie sławę poetycką. Czytała go garść wybranych, naogół jednak kiwano nad jego wierszami z politowaniem głowami, mówiąc: Tego nikt nie zrozumie. Między tą parą nawiązuje się nić uczucia, opartego na wspólnych zamiłowaniach i wzajemnym podziwie, uczucia bardzo uduchowionego, bo Elżbieta ma już lat 39, Robert jest od niej o 6 lat młodszy. Ojciec nigdy nie pozwoli na związek, więc kochankowie decydują się na rzecz w owych czasach niesłychaną — na uprowadzenie Elżbiety, której stan zdrowia, zapewne pod wpływem nowego potężnego dreszczu, poprawił się znacznie. Biorą potajemny ślub i uciekają do Włoch, zabierając zaufaną służącą i ulubionego pieska poetki. Żyją przez 15 lat szczęśliwie, tworząc i popierając włoski ruch wolnościowy. Oboje teraz dopiero naprawdę dojrzewają duchowo, Elżbieta tworzy swe wspaniałe sonety miłosne, które przez wstydliwość wydaje jako „Sonety z portugalskiego", poezja Roberta nabiera głębokości, staje się miejscami pogodna, zaczyna przemawiać do serc ludzkich. Idylla kończy się w r. 1801 zgonem Elżbiety, która naprożno usiłowała przebłagać ojca.

Prócz utworów obojga, źródłem do ich historji jest również piękna korespondencja. Współczesny dramaturg Besier postanowił udramatyzować romans Browningów. Przedstawił to dość wiernie, reprodukując nawet drobne szczegóły, ale chcąc wyjaśnić charakter starego Edwarda Barretta, poszedł za teorjami freudystycznemi. Elżbieta jest uderzająco podobna do zmarłej matki, a ojciec czuje dla niej uczucia inne, niż dla reszty dzieci. Dręczy się tem, i przechodzi posępne, wyczerpujące walki, burze duchowe, ale w pewnych chwilach zdradza się wybuchami żądzy. Jego istota jest wypadkową z wrzącej zmysłowości i surowego purytanizmu. Pomysł był niewątpliwie przykry, ale Besier wykonał go zręcznie, tworząc postać prawdziwie tragiczną. Widz chwilami nienawidzi Edwarda Barretta, chwilami nim pogardza, ale musi mu chwilami i współczuć. Dodajmy do tego zręczną robotę dramatyczną — n.p. wydobycie szeregu humorystycznych motywów z patrjarchalnego ustroju rodziny i tyranji ojcowskiej — a zrozumiemy powodzenie sztuki, którą p.t. „Barrettowie Wimpole Street" długo grano w Londynie. Dopomogła jej i akcja żyjących potomków Edwarda Barretta, którzy uczuli się dotknięci przedstawieniem swego protoplasty i żądali zakazu jej grania, a przynajmniej zmiany nazwisk.

I francuska przeróbka (zresztą z sentymentalnem i ckliwem zakończeniem, niezgodnem z rzeczywistemi dziejami Browningów) miała powodzenie. Obecnie gra dramat Besiera — z tytułem zmienionym na „Mis Ba" warszawski Teatr Nowy.

Na pierwszy plan wybijają się ojciec i córka. W roli Edwarda Barretta święci prawdziwe triumfy dobrze Lwowowi znany p. Justian. Bardzo trafnie oparł się pokusie zrobienia go hipokrytą. Jest głęboko szczery. Gdy modli się o moc wytrwania i zdrowie dla córki, czujemy, że modli się o siłę dla siebie. Dręczy go wciąż świadomość własnego grzesznego uczucia. Widz czuje, że z tego źródła płynie cała srogość Barretta dla dzieci. Jego miłość jest zbrodnią, więc i wszelka miłość musi być zbrodnią, trzeba przed nią strzec synów i córki. Umie też p. Justian momenty, w których Barrett wybucha namiętnością, zresztą natychmiats tłumioną, tak przedstawić, że nie budzą zbytniego niesmaku.

Elżbietę Barrett odmłodził już autor, p. Malicka poszła dalej w tym kierunku. Jej kreacja jest uroczem zjawiskiem o młodocianej twarzyczce, otoczonej aureolą złotych włosów (poetka była brunetką). Ale warto przebaczyć tę nieścisłość. Wspaniałe są momenty, w których Elżbieta pod wpływem miłości zaczyna czuć się zdrową, uczy się nanowo chodzić, pręży ręce do słońca, do dalekiego świata, do miłości, której zabrania srogi ojciec.

Browning wyszedł i u samego autora blado, nie zaradził też temu p. Damięcki (tem bardziej, że zbyt dobrze wygląda). Mniejsze role wypadły wcale efektownie, a dekoracja, przedstawiająca wnętrze wiktorjańskiego pokoju z przed lat blisko setki, oraz stylowe kostjumy przynoszą zaszczyt teatrowi.

Władysław Tarnawski

Japoński pionier oświaty

Autobiografja Fukuzawy Jukiczego, ogłoszona niedawno w angielskim przekładzie, przedewszystkiem stanowi nieoceniony komentarz do metamorfozy, jaką przeszła Japonja w drugiej połowie w. XIX, nadto stawia czytelnikowi przed oczyma trójwymiarową postać wybitnego człowieka z jego zaletami i równie szczerze traktowanemi wadami.

Fukuzawa urodził się w roku 1835 — na lat dziewiętnaście przed epizodem, który dał początek modernizacji życia japońskiego tj. przed wymuszeniem traktatu handlowego przez „czarne okręty" amerykańskiego admirała Perry'ego. Ustrój społeczeństwa był jeszcze zupełnie feudalny. Ojciec przyszłego reformatora oświaty był samurajem i przekazał synowi zaszczytny przywilej noszenia dwóch mieczów. Sposób myślenia starego Jukiczego charakteryzuje doskonale jego stosunek do szkoły. Dowiedział się, że dzieci uczą tam tabliczki mnożenia i przyjął to z oburzeniem: „To ohyda, aby niewinnym dzieciom kazać zajmować się cyframi. To dobre dla kupczyków".

Fukuzawa był dzieckiem myślącem i wcześnie zaczął dręczyć się wątpliwościami religijnemi. Pogańscy bogowie Japonji przestali budzić w nim cześć i obawę. Zresztą postanowił zrobić doświadczenie. W ogrodzie stryja stała kapliczka, poświęcona bogowi Inari. Chłopiec otworzył ją pokryjomu i znalazł w środku kamień. Wyrzucił go i zastąpił innym kamieniem, podjętym z ziemi. Zakradł się później do ogrodu sąsiada Szumomury i zajrzał do takiej samej kapliczki. Znalazł tam drewnianą tabliczkę i znowu włożył zamiast niej kamień. Mimo przekonania, że bóstwo nie istnieje, odczuwał przez jakiś czas trwogę przed jakąś straszną karą z jego strony. Ale przyszło doroczne święto Inarego. Ludzie gromadzili się koło kapliczek, bili w bębny, zatykali chorągiewki, przynosili w ofierze dzbanuszki świętego wina ryżowego. Fukuzawa triumfował i śmiał się w duchu: „Otóż to! Oddają cześć boską moim kamieniom. A to głupcy!"

Chłopiec urósł w młodzieńca. Dręczyła go żądza wiedzy. Wkrótce zdał sobie sprawę, że znajdzie ją w europejskich książkach. Nauczył się po holendersku i zaczął studjować dwa przedmioty, które wydały mu się najważniejszemi dla Japonji — sztukę lania dział i medycynę.

Trzeba było walczyć z rozlicznemi trudnościami. Rodzina była uboga i niechętna zagranicznej wiedzy. Lecz Fukuzawa miał silną wolę, zresztą wytworzyła się koło niego grupa młodych ludzi, ożywionych temi samemi dążnościami. Po całych nocach przepisywali z holenderskiego podręcznika fizyki rozdział za rozdziałem. Najbardziej fascynowała ich nauka o elektryczności.

Europejska książka nie wystarczała. Fukuzawa zapragnął poznać samych europejczyków. Wybrał się w tym celu pieszo z Jedo do Jokohamy, robiąc w ciągu 24 godzin 80 klm (tam i z powrotem). Zwiedził dzielnicę cudzoziemską i poznał Anglików. Jeden z pierwszych w swej ojczyźnie zdał sobie sprawę ze znaczenia języka angielskiego i gorączkowo wziął się do przyswojenia go sobie. I opanował go tak gruntownie, że mógł objąć stanowisko tłumacza w pierwszem poselstwie japońskiem do Ameryki, później w pierwszej misji do Europy.

Należał zawsze do zwolenników mowy i kultury angielskiej i przyczynił się znacznie do dzisiejszego stanu rzeczy, polegającego na tem, że każdy wykształcony Japończyk mówi po angielsku. Były i pomysły dalej idące. W roku 1885 rozważano bardzo poważnie plan zarzucenia ojczystej mowy przez cały naród. W każdym razie angielszczyzna odegrała w Japonji taką rolę, jak niegdyś chińszczyzna — bo z Chin była zaczerpnięta cała starsza kultura. Japończycy są narodem naśladowców, lecz genjalnie uzdolnionych naśladowców.

Uznano zasługi Fukuzawy. Z czasem nadano mu zaszczytny tytuł Sensei. Dużo jednak przeszedł podczas burzliwego okresu, kiedy walił się szogunat (tj. władza cesarskich majordomów), a dynastja ujmowała rządy we własne ręce i sprawowała je pod hasłem modernizacji i europeizacji życia. Jako kierownik szkoły o typie akademickim Fukuzawa miał rozliczne zgryzoty. Wokoło szalała wojna domowa. Trzeba było wyżywić studentów, więc gromadził zapasy ryżu i tartego bobu, ale dręczyła go myśl, że w razie konieczności ucieczki przyjdzie to wszystko zostawić na miejscu i iść w świat z uszczuplonym zapasem pieniędzy. To znów chciano mu uczniów zabrać do wojska. Fukuzawa sprzeciwił się stanowczo. Mimo swoich studjów nad działami odnosił się do spraw wojskowych naiwnie. Odmówił wysłania studentów na pole walki. „Zbyt niebezpieczna rzecz dla młodych ludzi iść na wojnę. Choćby nie wiem jak ostrożnie zachowywali się w czasie boju, mogliby poginąć od zabłąkanych kul".

Fukuzawa Jukiczi przyznaje się do tchórzostwa z rozbrajającą otwartością, ale należy to przyjąć z zastrzeżeniami. Jeden z rozdziałów książki nosi tytuł „Ryzyko zamordowania". Przez długie lata żył ten pionier kultury pod groźbą skrytobójstwa. Przeciwnicy europeizacji kraju nietylko grozili, ale faktycznie wykonali na niego kilka zamachów. Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że się nie udały. Biedaczysko przechodził prawdziwe męki strachu, ale nie zawrócił ze swojej drogi, trzymała go idea i ambicja.

Nie ma on również zbyt wielkiego wyobrażenia o swej inteligencji. Wszystko, czego dokonał, przypisuje pracy i wytrzymałości. Przyznaje się wreszcie ze wstydem do nałogu pijaństwa. Żałuje, że wino nie czyniło go zgryźliwym lub skłonnym do awantur. Wtedy byłby musiał zaniechać jego użycia. Tymczasem nadużycie trunku wprawiało go tylko w dobry humor. W wesołem towarzystwie miał za punkt honoru przepić wszystkich, pochłaniając dwa lub trzy razy więcej wina, niż inni, i chlubił się że jest najlepszym pijakiem świata... Gdy czyta się ten ustęp, budzą się podejrzenia, że może Fukuzawa zanadto się sam obmawia i przesadza.

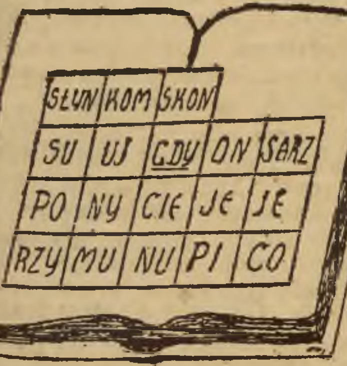
Umarł on w roku 1901, a więc już po triumfach wojny chińskiej, a przed jeszcze większemi triumfami wojny rosyjskiej.

JAN SZARZYŃSKI

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Konikówka — zagadka

(Ułożyła „Arja")



Rozwiązaniem konikówki będzie zagadka, którą należy rozwiązać.

* * *

Cykl szaradowy: „Kobieta"

(Napisał „John Ly")

8. Szarada.

Kobieta osiem szóste kładzie
nacisk, ażeby być urodną,
by się podobać, bo w zasadzie
do brzydkich świat się zwraca chłodno...
Dziś rzecz to już bez — **piąta-ósma**,
że zdrowie sednem jest urody.
Kobieta przeto wielkie „plus" ma,
gdy zdrowie zdobi wiek jej młody.
Więc niech jej sport i gimnastyka
czwór-jeden-siedem posąg ciała,
którego powab nie zanika,
nawet gdy starość przyjdzie biała.
A wszak nie w **siódmym-drugim**, — jeno
w powabie leży ciała urok.
Powab podnosi się higjeną,
a tamten kredką lub miksturą.
Lecz **siódma-trzecia** nie zastąpi
pełności kształtów przyrodzonej...
A im prawdziwych wdzięków skąpiej,
tem głośniej krzyczy,... szyk robiony.
Jest coś płaskiego w tem, gdy dama
z „Damesa" albo „Pięć-trzeciego"
kopci, że niczem Fusi-Jama,
szyku zadając swoistego.
Lubię, gdy z wdziękiem pani Marta
czwór-jeden-osiem krok taneczny...
Lecz się zachwycam, gdy na nartach
zsuwa się z wierchów podsłonecznych...
A zatem niech nam żyje cała!
Byle chroniła się przesady
i być kobietą nie przestała
za listek lauru z Olimpjady...

* * *

Szarada

(Napisał „John Ly")

Pani „Junonie" z podziękowaniem za szaradę

Zapewne, że jest to niebios
niemała **pierwsza i wtóra**:
gdy burze światem kolebią,
gdy czarna nad głową chmura,
zachować pogodę ducha,
łzą **czwór-ósmego** nie kalać,
lecz ogniem, co z piersi bucha,
jątrzące rany wypalać...
Ta nasza szarad **sześć-trzecia**,
płonych napozór rozrywek,
tonąca w blaskach i kwieciach —
toć to azylum prawdziwe!
Gdy **pierwsza-trzecia** weń nieszczęść
uderzy — to z oną chwilą
„rozrywkarz" wysoce **pięć-sześć**
sobie to małe azylum...
Tam **siódme-drugie** upiorne
utrapień kurczą się, mdleją...
A serce w smutku oporne
znów się ożywia nadzieją.
A może to złuda tylko,
odurzający nas haszysz,
co zapomnienia ii chwilką
pięć nędzach darzy nas naszych?!
I cóż z tego? Upragnioną
i tą chwilka — choćby małą!
Nieprawdaż, Pani „Junono",
coś jest skromnych mych prac... **cała?!**

* * *

Łamigłówka kalendarzowa

(Ułożyła „Arja")

5
marca
p o k u t a
p i e k ł o
b o r s u k
f l o k s y
c y t a t y
G a w r y ś

* * *

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

I. e, o, II. a, e, i, III. a, e, u, y, IV. e, e, i, i, o, u, V. e, o, o, VI. a, a, a, VII. e, e, i, VIII. u, y, IX .a, u, y.

Powyższe samogłoski należy uzupełnić odpowiedniemi spółgłoskami i ustawić je tak, by powstało dziewięć wyrazów o następującem znaczeniu:

I. Ceniona w kuchni część zwierzyny, II. Wyższa uczelnia, III. wykształcenie, uczoność, IV. obcy przybysz, V. pakunek, VI. rodzaj bicza, VII. zboże, VIII. imię męskie, IX. specjalny gatunek drogiej skóry.

Pierwsze dwie litery każdego wyrazu, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

* * *

Szaradka

(łożył „John Ly")

Gdy **dwa-cztery** ktoś za dużo,
to jest przykra **pierwsza-czwarta**.
Tacy ludzie często nużą —
radbyś wysłał ich... do czarta.
Słów **raz-druga**, nie ich mnogość
warunkuje wartość mowy.
Mnogie słowa nie pomogą,
jeśli są... pustemi słowy.
I **trzy-czwarta** nie zagrzeje,
jeśli wiatrem jest podszyta!
Cały rad i taką wdzieje.
Bieda o komfort nie pyta.

* * *

Szaradka

(Ułożyła „Arja")

Gdy tak zrządziły **pierwsze-drugie**
żeć okrywają **trzecie-czwarte** —
nieco przykrótkie, lub przydługie,
stare, wymięte i podarte,
że się je **trzy-dwa** wciąż zszywa:
to nie martw się i nie rozpaczaj!
Bo co tam **całe**? Ciał okrywa
wartości ludzi nie oznacza..

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa 13 marca br.**

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

Rozwiązania z nr. 47.

Eliminatka: Kruk, bery, krzyk, kopiec, Zator, rolnik, kret. = Ubezpieczalnie. „Klucz": koryto.

Szarada syntetyczna: „O miłości romantycznej."

Łamigłówka: Wyjmując kolejno z każdego wyrazu czwartą i drugą literę, otrzymamy w rozwiązaniu słowo „kryptogram".

Szarada: (John Ly) Legenda o piołkarce.

Szarada: Kalambur.

Logogryf: Sala, Oran, flet, osty, King, lato, eden, siła = Sofokles, Antygona.

ROZWĄZANIA NADESŁALI

ze Lwowa pp. W. Smolicka, Arja, St. Krzywobłocka, Ir-ka, Hel. Kowalska, M. Szydłowska, Bron. Ostrowski, Wanda Wolańska, Eug. Dworski, A. Rogozińska, Tato Krzysia, M. Łesiuk, M. Ruxerówna, Wład. G., Fr. Goldowa, A. Sołtysikowa, Sigma, Roman H.

z Warszawy pp. J. Alis B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski. N. K. Kozłowski. N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn) Dr. Wilkowa (Rzeszów), Marja Raczkowska (Niżankowice), „Tom" (Rzeszów) Cz. Murczyński (Kraków), „Elka" (Tarnopol), „Otynja" (Otynja), M. Alexandrowicz (Delatyn), Marja Potocka (Sanoczek), Tad. Dworski (Sanok), „Olga" (Jarosław), M. Kański (Kraków).

Nagrodę uzyskał p. **Bron. Ostrowski** we Lwowie. Książka jest do podjęcia w naszym kantorze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. S. Dziękujemy za pamięć. Rozwiązania trafne. A co do „zaniedbania", mamy nadzieję, że wkrótce już uda się „wrócić do formy"...

„Rex". Rzeczywiście pomyłka, — ale rozwiązanie mimo to, jak się pokazuje, możliwe. Reklamowany numer wysłany. W niedzielę mieliśmy konfiskatę, stąd zawód.

Perkun. Otrzymaliśmy. Pójdzie niezadługo.

E. A. Otynja. Rozwiązań z nr. 40 nie otrzymaliśmy.

R. H. Łamigłówka ułożona dobrze. Ale trzeba nad nią naprawdę łamać sobie głowę!

M. A. Listu poprzedniego nie otrzymaliśmy. Prosimy nadal o pamięć. Nie trzeba zrażać się jedną nieudaną zbytnio rzeczą!

„Junona". Cykl obudził naprawdę bardzo żywe zainteresowanie, jednając nam dużo nowych przyjaciół. Dziękujemy serdecznie i — prosimy o dalsze!

T. D. Otrzymaliśmy. Zamieścimy.

„Rara avis", dwutygodnik poświęcony rozrywkom umysłowym, wychodzi już szósty rok pod redakcją znanego, wytrawnego szaradzisty, Czesława Kozłowskiego. Ostatni numer z dnia 15 lutego br. przynosi dużo ładnych i pomysłowych zadań, za których rozwiązanie przewidziane są nagrody w książkach.

Cena nr. 50 groszy. Adres wydawnictwa: Warszawa, Wierzbowa 6.

Ze świata książki

S. A. ICIEK: Samochodem przez Stany Zjednoczone. Tom I—II. (Wyd. Tow. św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe). W naszej literaturze podróżniczej Ameryka zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Pisali o niej obszernie zarówno przygodni podróżnicy, jak i wybitni pisarze, których pociągał zawsze ten kraj wszelkich możliwości w którym postęp techniki i wiedzy kroczy w siedmiomilowych butach.

Omawiane przez nas dzieło jest do pewnego stopnia unikatem w swoim rodzaju. Wyszło bowiem spod pióra rodowitego Polaka, urodzonego i wychowanego na drugiej półkuli, — człowieka, który zżył się najzupełniej ze swą drugą Ojczyzną, nie przestając nigdy ani na chwilę czuć się kochającym i wiernym synem tej ziemi polskiej, na której przodkowie jego przez wieki pracowali, służąc Ojczyźnie w każdej potrzebie.

Dodajmy do tego, że autor jest z zawodu kapłanem, że przez 30 lat pracuje tam wytrwale w służbie Bożej wśród kolonij polskich, — a zrozumiemy łatwo, iż może i musi mieć dużo do powiedzenia.

Książka jego zdaleka już zalatuje Ameryką. Inne spojrzenie na świat, inny styl nawet, miejscami rubaszny, śmiały, niezawsze może; — jak sam wyznaje — licujący „ze starokrajskiem pojęciem o godności sukienki kapłańskiej".

Ale ks. Iciek nie lubi obwijać rzeczy w bawełnę. Bez pardonu mówi co myśli i co czuje, choćby to miało być niekiedy nieprzyjemne dla tego czy owego, choćby delikatniejszemu czytelnikowi uszy więdły.

I pod względem stylistycznym można niejedno wytknąć. Cóż, — kiedy autor sam się przyznaje, że nieraz w szkole rzucał gramatykę pod ławkę, a ukradkiem wyciągał... Sienkiewicza!

Niech mu to zapisane będzie na obronę i na chwałę!

* * *

Objeżdżamy wraz z autorem wszystkie stany Ameryki Północnej. Podróż to miła i pociągająca. Ks. Iciek odbył ją własnym samochodem (jak każdy szanujący się Amerykanin). Więc jedzie dokąd chce, gdzie tylko jest coś ciekawszego do zobaczenia.

Niezrównany to gawędziarz! W podróży sypie anegdotkami jak z rękawa Nie wstydzi się przyznać, że lubi pociągnąć z kieliszka, — więc „wstępuje" po drodze do Kanady, by delektować się zakazanym trunkiem (obowiązywała w tym czasie jeszcze prohibicja).

Jest amatorem rybołóstwa, uważając je za „apostolski zawód". Bo przecież i św. Piotr „zbierał do garnka glisty i opatrywał wędki, a nikt chyba nie zaprzeczy, że i Pan Jezus często z apostołami na ryby chodził i nieraz im najlepsze miejsca wyszukiwał".

Nie dziw, że książkę pisaną tak lekko, z iście amerykańskim humorem czyta się z prawdziwą przyjemnością i rosnącem zainteresowaniem.

Dwa potężne tomy! Jakiż olbrzymi materjał w nich zawarty! Ile w nich ciekawych wiadomości, informacyj, wspomnień historycznych, trafnych obserwacyj! Aż dziw doprawdy, że to wszystko zmieściło się.

* * *

Ma jednak ks. Iciek bystre spojrzenie i trafny pogląd na dzisiejsze stosunki społeczne i narodowościowe w Ameryce. Z żalem i niepokojem mówi o postępującem wynarodowianiu się naszych emigrantów na ziemi amerykańskiej, — i to właśnie teraz, gdy mamy tam własne poselstwa i ambasadę.

Ale — zauważa — nie wypada, aby ambasador wciąż jeździł po wiecach, zakładał kółka literackie, biblioteki ludowe itp. I niema na to ludzi.

Konieczną byłaby tam praca oświatowa, nawiązanie ściślejszej łączności z macierzą, również i na polu handlowem. Największą zaś bolączką, to brak młodych kapłanów uświadomionych narodowo, co zdaniem autora, jest przedewszystkiem dziełem seminarjów duchownych", gdzie klerycy mają wprawdzie do dyspozycji golf, tenis, pływalnie.., ale na naukę języka polskiego wyznaczono zaledwie pół godziny na tydzień.

O tej amerykanizacji Polaków mówi kilkakrotnie z nieukrywanym żalem, tem silniejszym, że tę Polskę ukochał całem sercem.

Toż w mundurze kapelana wojsk polskich „wygarnął kilkakrotnie do Ukraińców z karabinu maszynowego w oblężonym Lwowie", — toż objeździł nasz kraj, agitując za pożyczką narodową i setki miljonów marek przeszły przez jego ręce.

Toż zębami i pazurami bronił dobrej opinji i czci Polski wobec przygodnego towarzysza podróży, Anglika!

A spryciarz to nielada, ten ks. Iciek! Oto potrafił wydębić od swego przyjaciela, a wybitnego masona bilet wizytowy „z poleceniem do wszystkich masonów"... i tę niezwykłą rekomendację wyzyskać sprytnie dla naszej sprawy!

W tonie rozmyślnie żartobliwym opowiada o tem wszystkiem, co sam zdziałał dla naszej propagandy. Opowiada o swej rozmowie z R. Dmowskim o niespożytych zasługach tego ostatniego przy zakreślaniu granic przyszłej Polski, o doniosłej roli, jaką odegrał w owym czasie Paderewski.

Kilkakrotnie wraca do sprawy rzekomych „pogromów żydowskich" w Polsce, sprawy rozdmuchiwanej świadomie i celowo przez żydów amerykańskich, pragnących zdyskredytować nasz naród w oczach zagranicy.

Stwierdza przytem rzecz, znaną nam już dobrze skądinąd: ową niesłychaną solidarność żydostwa, które nigdy i nigdzie nie ulega wynarodowianiu, które w Ameryce mówi swym żargonem, czyta swoje dzienniki, również w żargonie pisane, opanowuje rynki mysłowe i jest jednym z filarów ważniejsze placówki handlowe i prasowe.

* * *

Książka ks. Iciek, to lektura nietylko interesująca, ale i bardzo wartościowa. Otwiera nam ona oczy na niejedno. I bije na alarm. Rodakom naszym na drugiej półkuli grozi wynarodowienie. „Starzy wymierają, a z nimi idzie do grobu ta nić złota wspomnień, która nas z Ojczyzną łączyły. Nowych nie przybywa, a starych ubywa" — żali się ks. Iciek.

Książka kończy się mocnym, podniosłym akordem:

„O ile nam sił starczyć będzie, to i my, w obcej ziemi zrodzeni i wychowani nie damy pogrześć mowy".

Tylko trzeba, aby Ojczyzna pamiętała o tych swoich dzieciach i otaczała ich czulszą i bezniejszą niż dotąd opieką

(kr.)

Modernizacja starych płyt gramofonowych

Trudno sobie dzisiaj wyobrazić radjo bez płyty gramofónówej. Wprawdzie radjofonja nietylko w Polsce, ale na całym świecie stara się obecnie uwolnić z pod przemożnego wpływu muzyki „mechanicznej“ zastępując ją muzyką „żywą“ w wykonaniu czy to orkiestralnem czy też solistów. — jednak wyeliminować płyty gramofonowej ze swojego programu nie może całkowicie. Proszę pomyśleć, czemby w radjo wypełniono wszystkie przerwy powstałe czy to spowodu nieprzybycia, czy też niedyspozycji wykonąwców — jeżeli nie płytą gramofonową? Zresztą nie dzieje się to ze szkodą dla samych płyt, na które zapotrzebowanie publiczności wzrosło właśnie od czasu nadawania najnowszych nagrań gramofonowych przez radió.

Dodam tu, że właśnie radjo a specjalnie wynalazek i ulepszenie w dziedzinie lamp katodowych umożliwiają obecnie wierną i idealną reprodukcję muzyki na płytach gramofonowych. Dawniej, to znaczy przed wynalezieniem lamp katodowych nagrywano płyty gramofonowe systemem mechanicznym, — obecnie zaś stosuje się wyłącznie nagrania elektryczne. Nawet dla człowieka nie specjalnie muzykalnego porównanie dwóch płyt: starej i nowej bezpośrednio po sóbie przegranych, uwidacznia ogromne różnice w wykonaniu technicznem między nowoczesną i starą płytą.

Technicy współcześni wysunęli ciekawę zagadnienie restauracji starych płyt gramofonowych nagranych przed wojną systemem przestarzałym: czy jest wogóle możliwe przy obecnych środkach technicznych zmodernizować stare płyty np. Carusa, aby odnieść wrażenie, że słynny artysta naśpiewał je w naszych czasach? Mamy tu następujące problemy do rozwiązania: musi być usunięty szum igły, musi być zwiększone wrażenie akustyczne, należy podnieść brzmienie orkiestry, t. zn. musi ona wypaść głośniej i pełniej, niż dawniej, pozatem dawna orkiestra jest za mała, musi być zastąpiona przez dużą.

Normalnie stłumienie szumu od igły daje się osiągnąć przez użycie specjalnego materjału na płyty i zastosowanie drogą doświadczalną zdobytych sposobów i recept fabrykacji, stanowiących tajemnicę danej fabryki, przy przejściu od płyty woskowej przez odbitkę miedzianą (matrycę) dó płyty gramofonowej. My, niestety jesteśmy w posiadaniu starych matryc: obarczonych od urodzenia szumem, tak; że nawet zastosowanie specjalnego materjału na odbitki nie wiele już pomóc może.

Wobec tego, że szumy i szmery, pochodzące ód igły gramófonowej, zacierają się w granicach wysokich tonów, zastosowano następującą metodę: za pomocą elektrycznego adaptera nagrywa się nową płytę ze starej, naśpiewanej przez Carusa; wzmacniacz lampowy użyty przy tem, zaopatrzony jest w urządzenie (filtr) obcinające wyższe tony, a tem samem tłumiące szum od igły. Należy tylko uważać, aby tu „operacja“ nie zniekształciła głosu Carusa pod względem barwy. Drugim ważnym problemem jest zwiększenie wrażenia akustycznego.

Tu poradzono sóbie w ten sposób, że starą płytę Carusa nagrywa się za pomocą elektrycznego adaptera i dobrego wzmacniacza na b. dobry głośnik dynamiczny, ustawiony w dużej sali, zaopatrzony w najnowsze urządzenia akustyczne (analogiczne do studja radjowego). W drugim końcu sali ustawiony jest mikrofon, wzmacniacz i urządzenie rejestrujące, skąd otrzymujemy już nową płytę, pod względem akustycznym zadowalającą. Praktycznie — modernizacja starych płyt gramofonowych ódbywa się w sposób następujący: ze starej płyty gramofonowej ze śpiewem Carusa nagrywamy zapomocą elektrycznego adaptera, nowoczesnegó rozmacniacza, z wbudowanym filtrem elektrycznym i nowoczesnego urządzenia rejestrującego nową płytę. Filtr obcina wszystkie tony, znajdujące się powyżej i poniżej zakresu tonów śpiewu Carusa. Przytem automatycznie zostaje usunięty stary szum od igły i stary akompanjament orkiestry. W ten sposób jesteśmy w posiadaniu płyty z nagraniem Carusa z zawartym w nim b. słabym akompanjamentem starej orkiestry. Następnie w dużej sali koncertowej umieszczamy odpowiednią orkiestrę, która wykonywa dany akompanjament z towarzyszeniem śpiewu Carusa, wydobywającego się z dynamicznego głóśnika, ustawiónego w tej samej sali, a połączonego z amplifikatorem wzmacniającym nagranie nowo ótrzymanej płyty. Mikrofon, znajdujący się w rogu sali, przenosi za pomocą innegó wzmacniacza śpiew i akompanjament łącznie na aparaturę rejestrującą, skąd otrzymujemy już ostatecznie płytę woskową, a z niej drógą galwanoplastyczną odbitkę miedzianą, czyli matrycę, służącą do fabrycznego wyrobu nowych zmodernizowanych płyt gramofonowych. Naturalnie, te płyty są już pozbawione nieszczęsnego szumu od igły, odznaczają się dobrem brzmieniem orkiestry i posiadają dobrą akustykę, czyli odpowiadają już wszystkim wymaganiom stawianym nowoczesnym płytom gramofonówym.

S. K. W.

W 150-tą rocznicę urodzin Karola Kurpińskiego

We wsi Włoszakowie, w Wielkopolsce przyszedł na świat 6 marca roku 1785-go Karol Kurpiński. Wychowywał się w skromnych warunkach. Ojciec jego był organistą w parafjalnym kościele, udzielając również lekcyj muzyki, dzięki czemu Karolek od najwcześniejszego dzieciństwa żył w świecie dźwięków, choćby dość prymitywnych. Mały chłopak wykazywał bardzo dużo muzykalności, wprost rwał się do nauki, tak, że ojciec wreszcie uległ jego prośbom. Ośmioletni Karol rozpoczął systematyczną pracę, naukę gry na klawesynie, na skrzypcach i śpiewu, poźniej także na organach. W cztery lata potem nabył rutyny w grze organowej i w improwizowaniu.

Postanowił też nie być dłużej ciężarem dla rodziców i usamodzielnił się, obejmując w dwunastym roku życia posadę organisty kościelnego. W owym czasie przez niespodziane spotkanie jednego ze swych krewnych, zdolnego skrzypka i wiolonczelisty, zapoznał się z prawdziwie artystyczną muzyką. Odtąd za ciasne stały mu się mury małego kościoła. Przy pomocy swych krewnych dostał się jako skrzypek na dwór starosty Polanowskiego, niedaleko Lwowa, co umożliwiło mu poznanie dzieł największych mistrzów współczesnych, Haydna i Mozarta, oper mistrzów włoskich i innych cennych kompozycyj.

Zaczął się więc sam z wielkim trudem uczyć kompozycji i to głównie przez studjowanie obcych partytur, potem dyrygować, kształcą się jednocześnie w grze na fortepianie, by po latach żmudnej pracy, w roku 1810 objąć stanowisko drugiego kapelmistrza w teatrze operowym Bogusławskiego w Warszawie. Dopiero tutaj mógł Kurpiński w pełni swój talent kompozytorski rozwinąć.

Komponuje więc dla teatru zrazu operetki, jak: „Dwie chatki“, następnie „Pałac Lucypera“, oba dzieła dobrze przyjęte przez publiczność. Objąwszy po Bogusławskim wraz z Elsnerem dyrekcję opery, pracuje nadal gorliwie i tworzy opery: „Łaska Imperatora“ i najlepszą ze wszystkich „Jadwigę“ do słów Niemcewicza. Od tego czasu, w łączności z wypadkami politycznemi (lata ponapoleońskie) opera rozwija się nader pomyślnie, ściąga publiczność.

Powstaje szereg nowych dzieł Kurpińskiego, m. in. dwuaktówka „Nowe Krakowiaki“, „Dziadek“, „Cecylja Piaseczyńska“, „Zamek na Czorsztynie“ itd. Styl tych oper utrzymany jest zasadniczo w stylu włoskim, przedewszystkiem zaś w stylu wszechpotężnego Rossiniego. Nie brak w nich jednak także elementu swojskiego. Krakowiaki, mazury i polonezy z tych oper nie zatraciły po dziś dzień swej żywotności.

Lecz nietylko własnemi dziełami wzbogacił Kurpiński operę warszawską. Odbywszy podróż po wszystkich stolicach Europy, przyswoił jej także szereg arcydzieł mistrzów zagranicznych, Niemców, Włochów i Francuzów.

Stopniowo wychował też w szkole śpiewu, założonej przy teatrze, nowe pokolenie śpiewaków, starał się o wyszkolenie chórów i baletu.

W roku 1840 złożył kierownictwo opery. Umarł (1857) ceniony i czczony przez wszystkich, wzbogaciwszy muzykę polską o wielki, nowy, nieprzeciętny talent muzyczny.

Z okazji 150-lecia urodzin Kurpińskiego organizuje Polskie Radjo dn. 7. III. (czwartek) o godzinie 22.15 specjalną audycję poświęconą dziełom tego mistrza. Wykonawcami będą: orkiestra symfoniczna P. R. pod dyr. J. Ozimińskiego, Irena Gadejska (sopr.), Maurycy Janowski (tenor), A. Bromke (trąbka).

Kaleidoskop tygodniowy

(WCZESNA WIOSNA A DYPLOMACJA. EPOKA KAMIENNA, NOŻYCE I „FRONTEM DO WSI!“ — GDYBY NIE PAT... — PRZEDWYBORCZA SPRZĄTANINA. — CENZURALNE MARZENIA. — LUCUS A NON LUCENDO. — „FRONTEM DO WÓDKI I BALU BRYGIDKARZY!“)

Wiosna!... Zapewne tchnienie wczesnej wiosny
popęd wojenny budzi i... miłosny...
Bo tu się tłuką — tam do siebie czulą,
nad bezpieczeństwa biedząc się klauzulą.

Wrzód absyńsko-włoski się zaognia
tak, że pęknięciem zda się grozić co dnia...
Gdyby o Włochów miał kto może tremę
niech się pocieszy: pomoc da im... Jemen...

Zato Japończyk bąka niedwuznacznie,
że — jeśli wojna (broń Boże!) się zacznie —
Japonja wszystko z swej strony uczyni,
żeby jakoś pomóc Abisynji...

Wogóle ruch się wojenny ożywia
w świecie... Przykładem: Paragwaj — Boliwja.
Podobno tam się nie na żarty sieką,
jak fama głosi... A „Liga“... daleko!

Zresztą Paragwaj ma już „Ligi“ dosyć
i bez ochvby chce się z niej wynosić.
— To jakiś (mówią) interes nie tęgi:
płacić za pokój, a dostawać... cięgi...

W przeciwojenne środki „Liga“ biedna.
Tych, co chcą serjo bić się, nie pojedna.
Dunikowskiego ja „śmierci promienie“
jako pokoju przystań wyżej cenię.

W naszej dla Niemców miłosnej ekstazie
trwamy chronicznie... Trudno zejść z niej na ziem...
„Polsko-niemiecki Instytut“ nad Sprea
Otwarto z całkiem wyraźną ideą.

Elita polska — niemieckiej elicie
ma pomóc Polskę poznać należycie.
Ciekawim, w jakim to będzie fasonie?
(Elity znają się, jak łyse konie...)

Lecz jakikolwiek będzie tryb tych poznań,
baczmy, że może tu chodzić o Poznań...
By nas śmiech kiedyś nie dobiegł z za Odry,
że i po szkodzie Polak... nie jest mądry!

Ot — w chopinowskie polsko-saskie święto
w Dreźnie — tablicę piękną odsłonięto.
Że Chopin Polak — niech wiedzą Germanie!
Przeto polskiego słówka niema na niej...

Zew: „Frontem do wsi!“ jest głównym motywem
mowy premjera... Z uczuciem się żywem
on ku kamienie i ódnosząc kulturze,
chce, by daniny chłop płacił w naturze.

Przyrzekał zmniejszyć ubezpieczeń brzemię
i cen nożycom pogroził pan premjer.
Tylko nożyce podatków — te stale,
jak strzygły dotąd — będą strzygły dalej...

To „frontem do wsi!“ „as“ ekonomistów,
pan Matuszewski z logiką swoistą
tłomaczy: — Trzeba zdjąć ciężary z wiosek
i pchnąć na miasta! Kapitalny wniosek...

Gdy zaś mieszczuchów się do cna wychlasta,
padnie komenda znów: „Frontem do do miasta!“
Niech cierpią zmienną przeznaczeń koleją
to wieś — to miasto! Tak „w kółko Macieju!“

Wciąż „frontem do wsi!“ krzyczą — i miljony
ślą egzekucyj chłopom na wsze strony
w przednowek... Chłopi rozrzewnieni są tem
i odwracają się dobitnie... frontem.

Że to etatyzm ludziom w oku solą,
to coś o drzewnym słychać monopolu...
Za baśńbym uznał to zgoła od rzeczy,
gdyby tak mocno... „Pat“ temu nie przeczył...

Po BB. sobie Mackiewicz pohasał...
W „podskakiewiczach“, „mafijkach“, „fagasach“
i w „Chlestjakowych“ zręcznie się ukrywa
drań, co to sobie ideę dolgiwa...

Znów jeden filar sanacyjny prysnął,
pan Polakiewicz... Los go swą zawistną
dosięgnął dłonią i... skończył się tupet:
z wicemarszałka — politycznym trupem.

Wybory blisko — zaczem się zaczyna
już przedwyborcza w BB. sprzątanina...
Sił trzeba świeższych w kampanji tej użyć,
toż przed nią nieco szeregi... odciurzyć!

Czesi niezwykły robia sobie tydzień:
„tydzień sumienia publicznego“... Idzie
nam ślinka na coś podobnej natury...
U nas to byłby... tydzień bez cenzury.

I naukowe sumienie podpada
jakowejś wyższej cenzurze... A biada,
kogo jej tryby w swoją moc pochwycą!
Bo konfiskuje katedry wszechnicom.

Czy Sobieskiego ka drę, czy ino
jego samego mają wkrótce zwinąć,
to niewiadomo... Jedno jest pewnikiem:
nie pisz historji, będąc historykiem!

Dla lwowskiej Rady, co to ją niemową
wielkim nazwano, mają stawiać nową
trybunę mówców... Zbytek ceregieli!
Wszak milczeć chyba wygodniej... z foteli.

Mównica niemych... To jak z tym śmietnikiem,
czyli zaułkiem, co zwie się „Kącikiem“.
Potem „uczczono“ go mianem „Balcera“,
a bezimiennym jest skandalem teraz.

Czemu wciąż jeszcze tyle smutku w ludziach?
Czyliż nie wiedzą, że staniała wódzia?
Rozluźnił struny cen nazbyt napięte
monopol... Krzyczym więc: Vivant sequentes!

W zachwycie „czystej“ dwa kielichy kropię,
aż pojaśniało w mym kalejdoskopie!
Wizję mam... Z błogiej ekstazy się pocę...
Tramwaj — gaz — woda tańsze o sto procent...

Od dzisiaj hasłem więc: „Frontem do wódki!“
Ileż to można na niej w czasie krótkim
oszczędzić sobie ! tem, bracia mili,
inwestycyjną pożyczkę zasilić?!

Lecz nim ten walor nabyć nam się zdarzy,
dziś inwestujmy „dancing brygidkarzy“!
Pewnie tam znajdzie się „większa pół Lwowa“,
a w domu będzie wyć... „mniejsza“ połowa.

LYJON.

Radjofonja we Francji

Idąc za przykładem Włoch i Niemiec. Przystąpiła i Francja do gruntownej przebudowy swojej radjofonji. A było to rzeczą naprawdę pilną i potrzebną. Radjofonja francuska bowiem cierpiała oddawna na rozmaite, zdawałoby się nieuleczalne choroby.

Roli lekarza podjął się J. Mandel, obecny minister poczt i telegrafów, zabierając się fachowo i energicznie do rzeczy.

Francja posiada około 20 radjostacyj nadawczych, — w czem jednak aż ośm stanowi własność prywatnych przedsiębiorstw. Są to stacje: Radio - Paris, Poste Parisien, Eiffel, Radio - Toulouse, Normandie, Cote d'Azur, Bordeaux i Maroko. Stacje o mocy od 1 kw. do 100 kw. (Poste Parisien).

Pozostałe natomiast stacje, stanowiące własność państwa, są naogół bardzo słabe: najsilniejsza z nich (Rennes - Bretagne) nie ma więcej jak 40 kw.

Stąd niepożądana i niezdrowa konkurencja, dająca się zwłaszcza odczuwać przykro przy transmisjach zagranicznych.

Pierwszą rzeczą zatem było wydatne wzmocnienie siły wszystkich stacyj państwowych, przy równoczesnem zmodernizowaniu ich. W tym kierunku podjęto już dawno prace: w ciągu najbliższych paru miesięcy (do czerwca b. r.) stacje nadawcze w Paryżu (Paris P. T. T.), Lyonie, Nicei, Marsylji, Lille i Tuluzie, rozporządzać będą mocą od 60 do 120 kw.

Następnie przyjdzie kolej na pozostałe stacje, — tak, że do końca b. r. francuska sieć radjofoniczna należeć będzie do najlepszych w Europie.

* * *

Druga inowacją jest zniesienie wszelkiej reklamy i ogłoszeń w stacjach państwowych. Była to też jedna z bolączek radjofonji francuskiej. Stacje prywatne rozwinęły dział reklamy w bardzo wysokim stopniu, czerpiąc z tego źródła pokaźne zyski. Min. Mandel — uznając celowość i rację bytu reklamy radjowej — wychodzi z założenia, że w państwowej sieci radjofonicznej żadna reklama prywatna nie jest dopuszczalną.

Państwo pobiera ustalone opłaty od radjoabonentów i płynące z tego źródła wcale poważne, dochody winny być w całości obracane na utrzymanie i rozbudowę sieci radjowej. Te dochody winny też w zupełności wystarczać, bez uciekania się do pomocy płatnej reklamy. Radjoabonent płacąc ustaloną taksę, ma prawo domagać się tego, by w audycjach nie przemycano jakiejkolwiek reklamy.

Stanowisko zajęte w tej sprawie przez min. Mandla spotkało się z ogólnym aplauzem radjosłuchaczy.

* * *

Bardzo oryginalne i ciekawe są zarządzenia natury organizacyjno - programowej. Zarządzenia, możliwe do zrealizowania tylko w kraju o wysokiej kulturze, a zgodne z zasadami jaknajszerzej pojętej demokracji.

Oto w myśl wydanego świeżo dekretu — wszyscy radjosłuchacze we Francji będą mogli współpracować przy układaniu programów audycyj.

Powstaną mianowicie w rejonie każdej poszczególnej radjostacji specjalne „stowarzyszenia radjosłuchaczy", do których należeć będą wszyscy bez wyjątku, którzy opłacają ustaloną przez rząd taksę.

Stowarzyszenie takie wybiera corocznie ze swego grona dziesięciu delegatów, wchodzących w skład t. zw. „Conseil de gérance", w rękach którego spoczywać będzie cała gestja artystyczna, administracyjna i finansowa odnośnej stacji.

„Conseil de gérance" składa się ogółem z dwudziestu członków: 10 delegatów radjosłuchaczy, pięciu przedstawicieli producentów oraz pięciu funkcjonarjuszy odnośnej stacji.

Pod miano „producentów" podpadają nietylko fabrykanci sprzętu radjowego, lecz również i pisarze, muzycy, śpiewacy i artyści dramatyczni.

Jednem słowem, każdy taki „Conseil de gérance" będzie parlamentem w miniaturze, gdzie ścierać się będą niejednokrotnie sprzeczne interesy poszczególnych delegatów.

Czy wpłynie to korzystnie na ulepszenie programów i audycyj, — przyszłość dopiero pokaże. W każdym razie na podkreślenie zasługuje fakt, że w organizacjach tych połowę miejsc zajmują sami radjosłuchacze, a więc ludzie najbardziej zainteresowani. Z ich też zdaniem przedewszystkiem dyrekcja stacji będzie się musiała liczyć, pomna zasady, że „tabakiera dla nosa".

* *

Drugi, równocześnie wydany dekret przewiduje utworzenie „Naczelnej Rady Radjowej", obejmującej dwie sekcje: administracyjną i artystyczną. Do tej ostatniej, składającej się z 36 członków, wejdą osoby, powołane wprost przez min. poczt i telegrafów. Członkowie Naczelnej Rady nie będą pobierać żadnego wynagrodzenia.

Zadaniem sekcji artystycznej, zwanej oficjalnie „Wydziałememissyj", będzie ustalanie ogólnych linij wytycznych dla programów poszczególnych stacyj, w ścisłem porozumieniu z lokalnemi „Conseil de gérance".

Oczywiście, rząd pozostawiając szeroką autonomję poszczególnym stacjom, zastrzega sobie odpowiednią ingerencję i nadzór nad całym aparatem radjofonji.

* * *

Wreszcie zapowiada minister energiczną walkę z rozpowszechnionem silnie we Francji radjopajęczarstwem.

W tym celu ustanowione zostaną w rejonie każdej stacji specjalne placówki kontrolne, wyposażone w ogromnie czułe i precyzyjne aparaty umożliwiające wyłapywanje radjopajęczarzy.

Cała ta, na wielką skalę zakrojona, reorgnizacja i rozbudowa radjofonji ukończoną ma być zupełnie jeszcze w bieżącym roku.

Byleby tylko w międzyczasie nie nastąpiła... zmiana rządu. Bo radjo francuskie nie jest wolne od walk i wpływów politycznych, — a każdy nowy minister uważa sobie za punkt honoru wystąpić z nowym programem reorganizacyjnym, z reguły różniącym się znacznie od programu jego poprzednika.

Tam, gdzie rozstrzygnął się los Anglji

O sześć mil angielskich od Hastings leży włoska, zwana dziś poprostu Battle (Bitwa). Jak nazywała się w r. 1066, kiedy tu rozstrzygnęły się losy Anglji, niewiadomo. Napewno nie Senlac, jak mówią niektóre źródła; nazwa ta nie ma anglosaskiego brzmienia.

Jak wiadomo, dzielny król Harold musiał bronić się przed dwoma najeźdźcami. Na wybrzeżu wschodnio-północnem wylądował brat jego Tostig z królem norweskim Haroldem Hardrara i zajęli York. Z błyskawiczną szybkością pośpieszył ostatni król anglosaski na spotkanie tego nieprzyjaciela i pobił go, a raczej wyciął w pień pod Stamford Bridge. W jakieś trzy dni później otrzymał wiadomość o wylądowaniu Wilhelma ks. Normandji w Pevensey. Natychmiast ruszył na południe i w tydzień później zajął silną obronną pozycję w pobliżu Hastings.

Musiał jej szukać, gdyż był słabszy. Czy Wilhelm miał naprawdę 60 tysięcy ludzi, rzecz wątpliwa. W każdym razie górował i liczbą i przedewszystkiem kawalerją. Wobec tego Harold spieszył swych jeźdźców, a wojsko ustawił na grzbieciku górskim. Front jego mierzył mniej więcej półtora kilometra. Być może, iż był wzmocniony palisadą.

Kronikarskie opisy bitwy obfitują w romantyczne szczegóły, zapewne niewiele mające wspólnego z prawdą historyczną. Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby taki doświadczony wódz, jak Wilhelm, ryzykował udaną ucieczkę, która łatwo zamienić się może w prawdziwą, dla wywabienia nieprzyjaciela z obronnej pozycji. Nie potrzebował tego zresztą, mając kilkanaście tysięcy ciężko zbrojnej jazdy. Zdaje się, że przypuszczał atak za atakiem, póki nie przełamał linji Harolda. Była to walka na wyczerpanie fizyczne i moralne. Anglosasi trzymali się dzielnie i zapewne przechodzili nawet do kontrofensywy, ale po ośmiu godzinach ulegli, a śmierć króla, ugodzonego strzałą, odebrała im resztę otuchy. Stało się to o zmierzchu 14 października 1066 r. Już pociemku złamali Normanowie ostatnie próby oporu. Droga do Londynu stała otworem. Wilhelm został Zdobywcą.

Pole bitwy i ruiny opactwa, które wznosiło się w pobliżu, są celem licznych wycieczek. W roku bieżącym upływa 875 lat od jego założenia. Leżą na terytorjum Waltham, to zaś z początkiem XI w. należało do Tofiga, zwanego Dumnym, jednego z wasali Kanuta, który na jakiś czas zdołał połączyć Anglję i Danję. Edward Wyznawca nadał później dziedzictwo Tofiga swemu szwagrowi Haroldowi, a ten rozszerzył fundację. Zamiast dwóch kanoników, mieszkało teraz przy kaplicy w Waltham dwunastu z opatem na czele.

Ruszając do boju modlił się w niej nieszczęsny Harold o zwycięstwo i czynił śluby. Dwaj z kanoników towarzyszyli jego wojsku — i na tym fakcie osnuł Heine swe „Pobojowisko pod Hastings". Po klęsce obaj udali się do Wilhelma i prosili o wydanie ciała Harolda. Błagała o to i matka poległego króla, Gytha, ale zwycięzca odmówił. Wedle kronikarzy współczesnych, Harolda pochowano na skałach w pobliżu Hastings pod stosem kamieni, a Wilhelm dopiero po jakimś czasie zgodził się na przeniesienie zwłok do opactwa. Cała sprawa jednak jest niejasna i wątpliwa. Aż do XVI w. nikt nie żywił wątpliwości, że grób z napisem „Hic iacet Haroldus infelix" jest autentyczny.

Fundacja ostatniego króla anglosaskiego przeżyła go tylko o lat 111. Gdy Henryk II korzył się przed Stolicą Apostolską po zamordowaniu św. Tomasza Becketa, zobowiązał się między innemi założyć nowy klasztor. Ale poskąpił na to pieniędzy, odebrał opactwo w Waltham mieszkającym tam księżom, osadził w ich miejsce zakonników i tak pozornie spełnił ślub zrobiony. Zresztą często odwiedzał Waltham i odbywał tam konferencje z biskupami.

Za Henryka VIII fanatyzm protestancki targnął się na opactwo. Zburzono klasztor, z którego pozostały tylko most na rzeczce Lea, zwany mostem Harolda, i sklepiona brama. Zato do dziś dnia stoi kościół św. Wawrzyńca i św. Krzyża.

A. E.



Resztki historycznego opactwa w Waltham.

ŚWIAT KOBIECY

Płoteczki o modzie

— Do sukien wiosennych i kostjumów najchętniej używane są materjały w kratkę, przedewszystkiem znana nam tak dobrze „pepita". Niemniej modne są trójbarwne kraty szkockie, odpowiednie jednak tylko dla kobiet wysokich i niezbyt tęgich.

— Kostjumy popołudniowe przeważnie granatowe. Modny też jest wolor „bleu violet" o bardzo intenzywnym, łagodnym odcieniu.

— Dużo zmarszczek i fałdzików, zwłaszcza przy kołnierzu i rękawach bluzek.

— Przy sukniach wizytowych bardzo efektownie wyglądają wysokie kołnierze à la królowa Krystyna, obecnie bardzo dużo i chętnie noszone.

— Spódnice na ogół są o wiele szersze, nierzadko bogato marszczone lub fałdowane.

— Jako ozdoby do kostjumów stosuje się oryginalne guziki, naszyte zygzakowato, oraz paski w dwóch, a nawet w trzech rozmaitych kolorach.

— Na miejsce szlafroczków wraca znów zapomniana nieco pyjama. Kołnierzyk przy niej niewielki, spodenki bardzo szerokie.

— Na wieczór modne są bardzo suknie tiulowe. Aby im nadać więcej jeszcze powiewności, robi się do nich spód z faille.

— Wraca moda rozmaitych breloków i wisiorków, najrozmaitszych kształtów.

Bardzo milutko wygląda taki wisiorek na wąskiej aksamitce opasującej szyję. Przypomina to czasy naszych prababek.

— Suknie wieczorowe ozdabia się dużemi motylami z celofanu, w kolorze złotym lub srebrnym.

— Na przedpołudnie i do sportów nosi się rękawiczki z dość grubej skórki z manszetami. Popołudniu rękawiczki jedwabne czarne, lub w białe kropki, o ile harmonizują one z materjałem sukni. Wieczorem długie, czarne, zamszone rękawiczki, sięgające aż poza łokieć. Choć widuje się i długie ażurowe mitenki, akurat jak przed 50 laty!

— Chusteczki większe jak dotychczas, z białego lub kolorowego linon, z wyhaftowanym w rogu monogramem lub nawet z całem imieniem właścicielki.

— Wracają do łaski suknie płaszczowe (robe - manteazu). Zapinane zazwyczaj na sześć guzików, przepasane paskiem w innym kolorze i ozdobione szerokiemi wyłogami z białej piki.

— Lakierków nie nosi się prawie zupełnie. Na przedpołudnie nosi się półbuciki na słupkach, lub pantofelki zamszowe. Popołudniu i wieczorem obuwie na wysokim obcasie.

— I jeszcze o kapeluszach. Modeli poprostu zatrzęsienie, wybór ogromny. Cechą charakterystyczną niemal wszystkich jest, że mają z tyłu rondo maleńkie, nierzadko jeszcze misternie wycięte, tak aby cały karczek był zupełnie odsłonięty.

Przybranie z wstążek, kwiatów, piór. Materjał najczęściej tafta lub filc.

Z kolorów najwięcej popielaty, zielony i niebieski — nie mówiąc naturalnie o czarnym.



Eleganckie ensemble z czarnego aksamitu przybrany barankami krymskiemi. Kapelusik czarny filcowy.

Pod znakiem peleryny

To już wydaje się rzeczą przesądzoną. Będziemy nosić peleryny, krótkie czy długie, — wszystko jedno, ale peleryna być musi.

Zgodne to zresztą ze swoistą logiką mody. Bo przecież peleryna jest chyba najmniej wygodnem okryciem, — a przytem nie każdej kobiecie będzie w niej do twarzy. Ale niema apelacji! Tak zadecydowali augurowie mody w Paryżu. We wszystkich najnowszych kolekcjach peleryna króluje.

Począwszy od leciutkiej „cape" z różnobarwnych piór ułożonych na tiulowem podszyciu, od skromniejszych, ciepłych wełnianych, aż do futrzanych.

Nosi się je i rano i popołudniu i wieczorem. Na wycieczki, do strojów sportowych, w aucie. Nosić się będzie i na plaży.

Modne będą przedewszystkiem peleryny z materjałów szkockich, trzy czwarte długości.

Do sukni wieczorowej — krótkie cape z białego jedwabiu, podbite kolorowym atłasem; nierzadko mają z tyłu zwisający kaptur, który można przy wyjściu zarzucić na głowę.

Przy kostjumach z materjałów imprimé pelerynka jest zwykle w kolorze kontrastowym, podszyta jednak tym samym materjałem, z którego zrobioną jest suknia.

Wogóle magazyny paryskie lansują śmiało i efektowne kombinacje kolorów Tak np. Chanel daje do czerwonej sukni długą cape z bronzowego aksamitu, — Molyneux czarną aksamitną cape do sukni jasno - błękitnej.

U Wortha do kostjumów futrzane cape, sięgające do łokcia. Na lato natomiast ogromne, długie peleryny, sięgające niemal do kostek, malowniczo fałdowane. Te ostatnie są z białej lub czerwonej wełny.

Kobieta i książka

Kobieta 20-letnia, to książka, która dopiero wyszła z druku, po którą każdy w wypożyczalni czy księgarni skwapliwie sięga, by go drudzy nie ubiegli, czyta się ją szybko w oczekiwaniu sensacyjnego końca.

Kobieta 30-letnia, to skończone arcydzieło literatury, które się czyta z niesłabnącem zainteresowaniem, rozkoszując się doskonałością formy i bogactwem treści.

Kobieta 40-letnia, to już pełna głębokich, często smutnych refleksyj książka, którą się często jeszcze upajają zarówno młodzi Werterzy, jak i doświadczeni Don Juani.

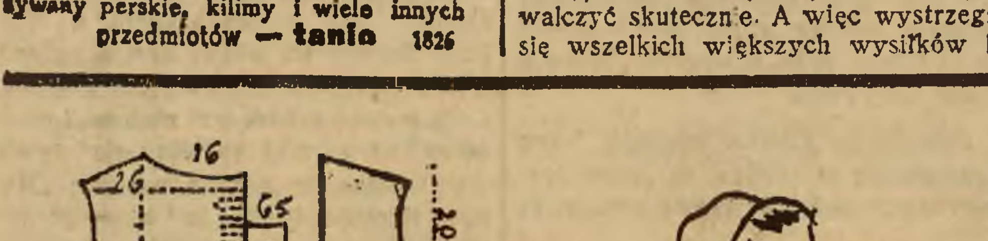
Kobieta 50-letnia, to cenne niegdyś utwory, żyjące naogół minioną sławą; niekiedy tylko sięga się po nieliczne arcydzieła, których nie nadgryzł ząb czasu.

Kobieta 60-letnia, to mądre księgi, do których prócz badaczy uciekają się nieraz nieliczni śmiertelnicy dla pokrzepienia ducha lub z ciekawości.

Kobieta 70-letnia, to stare, szanowane rękopisy lub białe kruki, mające archiwalne znaczenie.

Kobieta 80-letnia, to już rozsypujące się karty inkunabułów, pokazywane pod szkłem.

Kobieta współczesna, to efektowna książka, — w bogato zdobionej oprawie — najczęściej bez daty wydania.



Skromna, a elegancka bluzeczka, na którą potrzeba 1.30 mtr. materjału normalnej szerokości. Rękawy u dołu marszczone, zapinane na paseczek. — Monogram haftowany w kolorze kontrastowym.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Aby nabrać tuszy...

Tytuł wydaje się zupełnie nie na miejscu. Dzisiaj, gdy ideałem każdej kobiety jest smukła linja, kiedy kontroluje się często i bacznie wagę ciała, aby nie przekroczyć przypadkiem „przepisowej" normy, choćby o ćwierć kilograma!...

Ale kobieta szczupła, a chuda, — to dwa różne pojęcia. I niejedna z pań pragnęłaby jednak cokolwiek... nie utyć, broń Boże! — ale „nabrać ciała". Z reguły wchodzą tu w rachubę piersi i ramiona.

Otóż o ile chudość nie jest następstwem jakiejś choroby organizmu (w tym wypadku pomóc może tylko lekarz), można z nią do pewnego stopnia walczyć skutecznie. A więc wystrzegać się wszelkich większych wysiłków fizycznych, wszelkich sportów wymagających dużo, i to szybkiego ruchu. Unikać też należy wszelkich silniejszych wzruszeń.

Nie wyklucza to jednak racjonalnej, umiarkowanej gimnastyki. Do tego celu służą nam żelazne ciężarki, wagi jednego kg.

Celem wzmocnienia i rozwinięcia mięśni na ramionach, szyi i piersiach, wykonujemy następujące ćwiczenia:

Trzymając ciężarki w obu rękach, podnosimy je w prostej linji ponad głowę, opuszczając następnie ramiona pomału. Te same ćwiczenia wykonujemy, rozprostowując skurczone ramiona ku przodowi i na boki.

Wreszcie zataczamy koła od przodu ku tyłowi oraz po bokach, mając ramiona wyprostowane. Wszystkie te ćwiczenia robić należy spokojnie, pomału, unikając zbytniego zmęczenia.

Najodpowiedniejszą porą do ćwiczeń będzie późne popołudnie, jednak niezbyt prędko po jedzeniu. Idzie właśnie o to, by ćwiczenia te działały pobudzająco na apetyt.

Odmrożone ręce

Ileż one sprawiają przykrości i kłopotów! A wyleczenie wymaga dużo cierpliwości i czasu.

Najlepszem lekarstwem jest tu słońce. Trzeba co dnia, przez całe lato wystawiać ręce na działanie promieni słonecznych, co napewno odniesie pożądany skutek.

Pozatem polecenie godne są t. zw. kąpiele przemienne. Zanurzamy ręce do miednicy z gorącą wodą, do której wrzuca się garść gorczycy. Po paru minutach wkłada się ręce na chwilę do wody zupełnie zimnej, — następnie znów do gorącej. Czynność tę powtarzamy kilkakrotnie.

Zabiegi te trzeba robić regularnie codziennie, przez parę miesięcy, jeśli chcemy mieć pewność wyleczenia.

Suflet pomarańczowy

Ugotować niewielką pomarańczę w 3—4 wodach, aby gorycz odeszła, gdy już tak miękka, że się daje przekłuć słomką rozkroić, wyrzucić pestki, przepuścić przez maszynkę do siekania mięsa i ucierać w miseczce z szklanką cukru i czterem żółtkami, aż masa zjaśnieje i podrośnie. Wsypać w to łyżkę utartych biszkoptów i włożyć pianę z 4 białek.

Ułożyć na ogniotrwały, posmarowany masłem półmisek, posypać miałkim cukrem i upiec w niezbyt gorącym piecu. Osobno podać śmietankę, najlepiej surową lub mleko.